

# TYGODNIK ILLUSTROWANY

SMUTNE PRZECZUCIA



LEONARD  
STOJNOWSKI

Chrześcijaństwo historyczne pozostało martwą literą dla ludów europejskich. Tylokrotnie „wzywane nadaremno“, nie wcieliło się w życie, nie zdołało go przeobrazić i, jak Golfstrom, płynie wśród mętnego oceanu życia, nie mieszając z nim nigdy swych wód.

Tak samo jak przed dwoma tysiącami lat, życie jednostkowe i życie zbiorowe rozwija się pod hasłem zharmonizowanych lub rozbieżnych interesów. Dualizm chrześcijaństwa historycznego wykopał otchłań między niebem a ziemią, między wiarą a wiedzą i przekroił niepodzielną jednostkę ludzką na ciało i duszę.

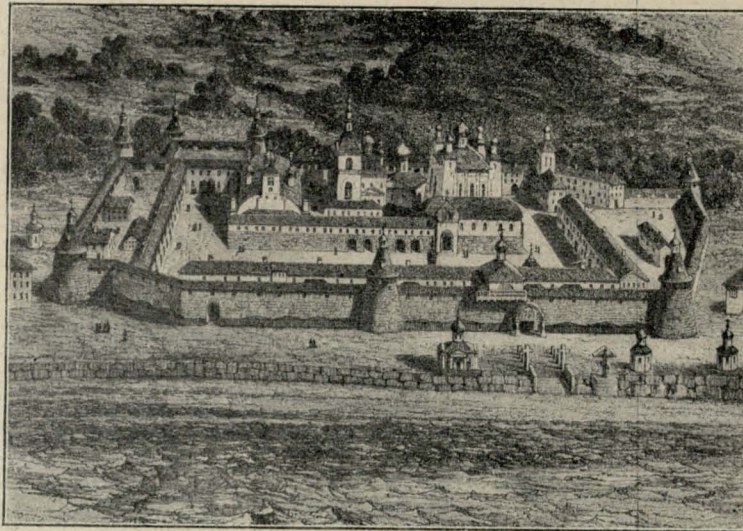
W ten sposób została potępiona i odrzucona cała ogromna dziedzina życia. Nic dziwnego, że „królestwo nie z tego świata“ nigdy nie mogło opanować ziemi i sprowadzić na nią nowego nieba. Ascetyzm i dogmatyzm nie potrafiły powstrzymać i zwalczyć wszechmocnego prądu życia. I rozwija się ono, pozareligijnie i żywiołowo, a w poczuciu bolesnej dwoistości, między Scyllą i Charybdą objawienia i poznania zeszło na płytkie mielizny, żadną jednolitą, całościową prawdą nie prześwietlone.

Chrześcijaństwo odrzuciło prawdę Hellenów, ziemię, święty orgiazm szczęśliwej i pięknej materyi. Odrzuciło całą wiedzę, aż do dni najnowszych. I pozostało bezcielesne, ponure, jak mniszka, rzucająca cień czarnej szaty na ucztę radosną. Spirytualizm wyłączny wysuszał źródła życia.

Należało albo odrodzić się w zjednoczeniu nieba i ziemi, albo nadal odrzucać naukę, nowe prądy społeczne, potępiać i krępować życie płci, słowem, pozostać ponad życiem z bezsilną klątwą na ustach. Tęsknoty współczesnych nieraz szły ku temu, co Wypiański w „Akropolis“ określił symbolem „Chrystus - Apollo“, a co Ibsen w „Cezarze i Galilejczyku“ nazwał „trzecim królestwem“. Połączenie prawdy Dyonizosa z prawdą Chrystusa, uświęcenie ciała i uprawnienie ducha, zlanie tezy i antytezy w jedną zwycięską, szczęśliwą syntezę, przyjęcie *całego* obszaru życia, tego żądają neo-chrześcijaństwo rosyjscy,

i na tej myśli przewodniej zbudował Mereżkowski swoją wielką trylogię: „Chrystus i Antychryst“.

„Antychrystwem“ nazywali chrześcijanie wszelkie objawy, które się nie mieściły w obiektywne normy chrześcijaństwa, w ścisłe dogmaty. A czując w



Monastyr Sołowiecki.

objawach niektórych piękno i moc i łaskę Boga, zabobonnie powtarzali, iż przyjmie Antychryst na się twarz Chrystusa. Antychrystwą wydawała się Juliana Apostata wskrzeszona cześć dla Hellady, i Leonarda da Vinci marzenie o skrzydłach dla ludzkości, i Piotra Wielkiego bezwzględne dzieło, narzucające ciasnemu nacyonalizmowi wszechludzką kulturę. Lecz, chociaż nie znali oni do głębi „Dobrego Pasterza“, jednak bliżej on był ich, niż tych, co wyznawali go tylko usty.

Trylogia Mereżkowskiego składa się z wielkich powieści, rozwijających przed nami różne drgnienia myśli chrześcijańskiej w różnych epokach. I jednocześnie każda z postaci wieków ubiegłych symbolizuje nasze, współczesne walki i zwątpienia. W „Julianie Odstępcy“ jest walka o piękno życia, rozpaczliwa próba wskrzeszenia złotego snu Hellady. W „Zmartwychwstaniu bogów“ występuje problemat poznania, upostaciowany w zagadkowej i głębokiej osobistości Leonarda da Vinci, u którego „doskonała wiedza jest doskonałą miłością“. A jego młodociany uczeń, Giovanni, nie może udźwignąć ciężaru wiedzy obiektywnej, która z jednakowym uczuciem wynajduje nowe śmiercionośne pociski i bada lot ptaków, z tem samym uczuciem obserwuje skurcz mięśni ludzkich z bólu i strukturę kamienia. I pyta w zwątpieniu, czy odwrotnie, doskonała miłość nie jest doskonałą wiedzą?

W trzeciej części trylogii, „Antychryście“, w postaci Piotra Wielkiego zostaje postawiony problemat czynu, czynu bezwzględnego, molochowego, dla którego poniesione będą wszelkie ofiary, nawet—ofiara z syna. A w każdej z tych części wypaczona jednostronna myśl chrześcijańska walczy z kulturą starych bogów, coraz to zmartwychwstających w pięknie i chwale, i z nową kulturą, rodzącą się w pracowniach samotnych, nie rozumianych myślicieli, wszędzie Chrystus umęczony walczy z Białą Dyablicą, zrodzoną z piany boginią Afrodite. Lecz walka ta jest tylko pozorna. Bo ci, którzy odrzucają nawet Chrystusa, czasem „prostują ścieżki Pańskie“. Drogą do Boga jest nie tylko droga twierdze-

nia, lecz i droga przeczenia. Kocha Bóg tych, co z nim walczą, i Jakóba, i Hioba, i nawet Odstępcę. Wielkie misteryum jest w tej walce. Ani Julian Apostata, wskrzeszający Apollina, lecz koronujący go nowym, nieznanym atrybutem, litością chrześcijańską, ani Leonardo da Vinci z nieprzeniknionym uśmiechem Tomasza Niewiernego, ani Piotr, ogłaszający się głową kościoła rosyjskiego i, jak bestya apokaliptyczna, ukazujący krwią i groźną twarz ludowi, żaden z nich nie posiada *całej* prawdy.

Każdy z nich wciela, lecz nie rozwiązuje fatalnych antynomii świata. Lecz obok tych postaci, rzuconych na tło dziejowe, jak wieczne, dręczące pytania, wynurzają się inne, postaci-zwiastuny, zapowiadacze odrodzenia. W „Śmierci bogów“ Arsinoe odkrywa Odstępcy innego Chrystusa, do którego się zbliżali mędrcom Hellady, tego, który „kochał dzieci, wolność, wesołość uczt i pyszne lilie białe“. W „Zmartwychwstaniu bogów“ mniemana czarownica, Monna Kasadora, tai w sobie wiedzę doskonałą, ongi wrytą na szmaragdowej tabliczce, znalezionej w rękach posągu Hermesa Trismegistososa:

Niebo na górze, niebo na dole, gwiazdy na górze, gwiazdy na dole, wszystko, co w górze jest i na dole, gdy to zrozumiesz, toś szczęśliw ty.

Powinna być ziemia niebieska i ziemskie niebo, przyjęcie długo odrzucanej ziemi i przeobrażenie, przebóstwienie jej. W „Antychryście“ niestrudzony poszukiwacz prawdy



Bojarzyn z końca XVII-go wieku z córką.

religijnej, Tichon, odnajduje ją nakoniec w objawieniu św. Jana i staje się żyjącą hosianną na cześć przybywającego Pana. Bo Chrystus ma znowu zstąpić na ziemię, i ta wiara jest wiarą nowego chrześcijaństwa apokaliptycznego, zamieniającego religię Ojca i Syna na religię św. Trójcy, w której Dwoje połączy się z Trzecim i utworzą jedno.

Przypomina to znacznie wcześniej przez naszego Cieszkowskiego zapowiedziane Królestwo Ducha św. I wogóle współczesny



Starowierca.



MONASTYR CZERŃCÓW.



MONASTYR CZERNIC.

ruch religijny w Rosji posiada cechy, zbliżające go do naszego mesyanizmu.

Ostatnia część trylogii, „Antychryst“, ukazała się niedawno w przekładzie Walerego Gostomskiego.\*) Otwiera nam ta powieść ciekawe perspektywy historii rosyjskiej, jest kluczem do duszy narodu rosyjskiego, gdyż ukazuje nam centralną w jego dziejach postać Piotra Wielkiego.

Różne odmiany myśli rosyjskiej wyłoniły się z takiej lub innej oceny dzieła Piotra Wielkiego. Słowianofile i zachodowcy („zapadniki“) błogosławili lub przeklinali to dzieło.

Słowianofile uważali, iż przez wprowadzenie reform, przez połączenie Rosji z Zachodem, oddzielił Piotr narodowość od cerkwi, która ducha Piotrowego przyjąć nie mogła. Zachodowcy podnosili wielką zasługę Piotra, który zbratał kulturę rosyjską z kulturą wszechludzką i wywiódł ją z zaklętego koła coprawda swoistego, lecz ciasnego i skostniałego nacjonalizmu. Mereżkowski nie przyjął jednego, ani drugiego krańcowego poglądu. Bliską mu jest sprawa cerkwi—nie tej, oficjalnej, najniższej służki władz świeckich, lecz takiej, jaką ją widzieć pragnie; ale bliską mu jest sprawa kultury, gdyż tylko przez kulturę, i to wszechludzką, zyskuje się możliwość uczestniczenia w powszechnym, historycznym procesie Bogoczołwieczeństwa, czyli, podług formuły Mereżkowskiego: od Bogoczołwiecia przez człowieczeństwo do Bogoczołwieczeństwa. Dzieło Piotra zwie dziełem Chrystusowem, lecz wie, że Piotr nie wiedział wszystkiego do końca. Kościół i państwo, te dwie wrogie dotąd potęgi, państwo Cezara i Galilejczyka, powinny

stać się jednym. Piotr niejasno to przeczuwał, i zdawało mu się, że ma słusność, ogłaszając się głową kościoła rosyjskiego zamiast patriarchy i łącząc kościół z państwem. Lecz kościół został przez niego przykuty do rydwanu świeckiego i celom świeckim poddany. Zaś ideałem neo-chrześcijan jest roztopienie państwa w kościele, czyli zamiast przymusowej łączności ludzi wprowadzenie łączności samorzutnej, opartej na jedności religijnej. I Mereżkowski Piotrowi, prawdzie cząstkowej, przeciwstawia syna jego, Aleksę, prawdę całkowitą. Postać ta była z historii zapomniana. Widziano w cesarzewiczu Aleksym reakcjonistę, zwolennika starożytnego porządku. Mereżkowski przedstawia go nie jako wroga kultury, lecz jako zwolennika kultury wyższej, religijnej, dla współczesnych niezrozumiałej. W jego to usta kładzie wyraz swych własnych pożądań: „I zwołam wtedy sobór powszechny, aby kościoły chrześcijańskie połączyć. I pokój całemu światu dam, a ludy ze wszystkich krańców ziemi napłyną pod opiekę Zofii św., mądrości Bożej, i zjednoczą się w Królestwo Święte, wieczne na cześć i chwałę Chrystusowi“.

Trylogii tej niepodobna zrozumieć, nie znając współczesnego ruchu religijnego w Rosji. Ruch ten o tyle jest silny, że wśród duchowieństwa ukazało się żądanie zwołania soboru. Wielu ludzi świeckich podjęło kwestyę religijne, stawiając postulat odrodzenia religijnego współcześnie z odrodzeniem społecznym, np. Bułgakow, Bierdiajew, Zeneida Hippius, Filosofow i in. Z inicjatywy Rozanowa założone zostało Towarzystwo filozoficzno-religijne, powstało też bractwo walki chrześcijańskiej, godzące ruch społeczny z chrześcijaństwem. Organ neo-chrześcijan, *Nowa droga* (Nowyj Put'), i mistycznych anar-

chistów, *Zagadnienia życia* (Woprosy żizni), poruszały kwestyę metafizyczne i religijne, od których od tak dawna odwróciła się inteligencja pozytywistyczna. Wychodzą też pisma ortodoksyjno-religijne, teozoficzne i t. d.

Część inteligencji rosyjskiej zbacza już z drogi, wytkniętej przez pierwszego pozytywistę i nihilistę rosyjskiego, Piotra Wielkiego. Wielka tęsknota religijna, nie uciszone pragnienie powiało białymi skrzydłami nad ziemią. Ze starych form religijnych wyrasta nowa treść. I coraz głośniejszy odzywa się przeświadczenie, że mało jest nieba, „tylko nieba“, i mało jest ziemi, „tylko ziemi“. Nadchodzi nowy człowiek, który, wsparłszy stopy o ziemię, zanurzy skroń w błękitnie. Wypływają Rosyanie, wypływają i z nas niejedni z mielizn pozytywizmu. Vogue la galère!

LUCYAN RYDEL:

## Urywki z ód Pindara.

PIJANE KENTAURY.

Kentaury, wonie zwęszywszy wina,  
Co, słodsze miodu, z nóg mężów ścina,  
Białe mleko rękoma  
Postrącałi ze stoła,  
Przyszła na nich oskoma  
I, srebrnymi pijąc dzbany,  
Oszołomili się zgoła...

WESOŁYM CÓROM KORYNTYI.

Gościnne dziewczki, co czcicie Namowę  
W pysznym Koryncie—wy, które palicie  
Żółte łezki kadziłowe  
I ku Erosów matce Afrodićie  
Myślą często się wznosicie;  
Tej wolności wam, dziewczęta,  
Udzieliła ona, święta,  
Byście w rozkosznej łożnicy rwały  
Swej młodości owoc żrały...

\*) Piotr i Aleksy I Antychryst. Kraków, rb. 1.80.  
II Piotr Wielki, Kraków, rb. 1.35.



KOŁOMYJKA (z Salonu T. Z. S. P.)

JULJUSZ ZUBER

BOLESŁAW PRUS:

# DZIECI

POWIEŚĆ.

47)

— A za tak małą ofiarę z naszej strony, jaką jest śmierć, czyli: przyjemny sen, zobaczcie: ile szczęścia pozyska ogół i ci nasi towarzysze, którzy przeżyją innych... Każdy człowiek będzie miał robotę, ale z jego zarobków nic nie będą mu strącać majstrówie, ani przedsiębiorcy, ani właściciele domów... Za ośm godzin pracy będzie miał taką zapłatę, że nie tylko wystarczy mu na dobre utrzymanie, ale i na uczciwe rozrywki. Kobiety będą spełniać tylko łatwe zajęcia, a brzemiennie przez trzy miesiące będą odpoczywały. Każde dziecko będzie miało opiekę i naukę, każdy chory—lecznicę, każdy starzec przytułek... Nie będzie głodnych, ani obdartych, ani sierot, ani opuszczonych, ani... wyzyskiwaczy... Każdy kapitalista, poznawszy nowy ustrój społeczny i przekonawszy się, że jest mu w nim lepiej, niż było dotychczas, dobrowolnie odda swój majątek...

— Ale, dopóki nie oddaje, trzeba mu z pyska wydzierać...—odzwalał się ktoś.

— Najlepiej od razu w łeb, a pieniądze do kabzy...

Mówca w okularach zatrzęsł rękoma i wybuchnął:

— Na dobro publiczne... na cześć proletariatu zaklinam was, towarzysze... jeżeli podniesiecie rękę na kogo, to tylko w ostateczności... Walczyć z silnymi musimy, ale bezbronnych mordować!... Nie, ręce nasze, które zdobywamy wolność i szczęście dla

wszystkich, muszą być czyste, nie zmazane krwią...

— Ani złodziejstwem... — wtrącił inny głos.

— Rabunek nigdy!...—wołał mówca.— Za wszystko zawsze płacić, a jeżeli zdobycie pieniądze rządowe, albo musicie skonfiskować jakiś fundusz prywatny na rzecz ogólnego dobra, róbcie to formalnie...

— W takich wypadkach wystawia się kwity...

— Które, gdy zwyciężymy, będą wypłacone—kończył mówca.

— A o Matce naszej... o kochanej Polsce nic?... — odezwał się Litwin tonem żalu.

— Kiedy proletaryat będzie wolny, uwolni i Polskę...—rzekł mówca.

— Bo też Polska jest największy proletaryusz...—dorzucił jego sąsiad.

— Kto tam tego doczeka!... — wtrącił inny głos.

— Kto?...—zawołał młody mówca... — Mogę was zapewnić, towarzysze, że, zanim rok upłynie, nastąpią zmiany, które wynagrodzą nam wszystkie cierpienia... I dlatego działajmy i żyjmy jak najbardziej honorowo, ażebyśmy mieli prawo rzec burżujom: skoro my, w nędzy i niebezpieczeństwie, mogliśmy być uczciwymi, to wy, w spokoju i dostatku, powinniście postępować równie uczciwie i ponosić niewielkie ofiary dla publicznego dobra... My, proletaryusze, nauczyliśmy was

cnoty i obowiązku, wy, kapitaliści, musicie nas naśladować...

Kilku słuchaczy potakiwało mówcy, inni milczeli. Świrski przypomniał sobie, że już nieraz słyszał podobne, słowo w słowo, teorie i nadzieje, a nawet sam je wygłaszał; dziś jednak wydały mu się mniej pewnymi. To też pochylił się do Litwina i ostrożnie szepnął:

— Nie wiem, czy w ciągu roku dokonają się te zmiany!...

— Ale, jeżeli ma być tak źle, jak było, to lepiej ginąć...—odparł Litwin.

Herbata ugotowała się, i zaczęto ją rozdawać. Świrski dostał spory kubek i kawał chleba ze słoniną. Kubek był brudny, herbata mętna i niesłodka, chleb czerstwy; pomyślał jednak, że dawno nie smakowało mu śniadanie, jak dzisiaj.

W ciągu dnia zapoznał się z wieloma partyzantami i zaczął odgadywać stosunki w partyi. Zrozumiał, że istnieje kilka stronnictw, a przede wszystkim bardzo nieliczni patryoci i mnodzy socjaliści. Z drugiej zaś strony, obok garstki ludzi, przesiąkniętych duchem rycerskim i gotowych oddać życie za wolność i pomyślność narodu, większość tworzyli albo już gotowi bandyci, albo mogący stać się bandytami.

Świrski musiał przyznać, że tego rodzaju uwagi dawniej nie przychodziły mu na myśl; urodziły się dopiero w Leśniczówce, pod



TYP WSCHODNI

R. D. MACKENZIE

wpływem rozmów i wydarzeń, na które patrzył.

Cały dzień snuł się bez celu po jaskiniach i lesie, bez towarzystwa. Litwin pracował niezgrabnie nad wyłatanem swojej zniszczonej odzieży, towarzysz Jan przemawiał do coraz nowej grupy partyzantów, zachęcając ich do poświęceń i honorowego postępowania; Dziewiątka był zajęty, zresztą nie budził w Kazimierzu ani ufności, ani sympatii; w końcu Starka zdawał się unikać Świrskiego, jakby wstydził się, czy nie dowierzał szkolnemu koledze. Gdy zaś Kazimierz zapytał kogo: gdzie jest reszta oddziału z kapitanem?—spoglądano na niego podejrzliwie i nie odpowiadano.

„A to pięknie wpadłem!“... — rzekł do siebie Świrski.

W jednej jaskini znalazł kilka starych, podartych i zatłuszczonych gazet. Pochwycił je z najwyższą radością i odczytywał każdy skrawek, choć artykuły nie były ciekawe, a wiadomości bardzo spóźnione.

Już około trzeciej styczniowe słońce ukryło się za lesystemi wzgórzami. Podsycono ogniska, partyzanci wzięli się do zycia, do jedzenia, do kart, a na duszę Kazimierza spadał coraz gęstszy tuman nudów i tęsknoty. Dwa miesiące temu, miesiąc... całkiem inaczej wyobrażał sobie życie obozowe i stosunki koleżeńskie, które dzisiaj budziły w nim nieufność, a nawet obrzydzenie.

Około siódmej wieczór na gwiazdzistym niebie ukazał się księżyc, a w lesie—cuda. Jodły zamieniły się w szeregi wojska olbrzymów, świerki w zaczarowane pałace, zbrojne zamki i świątynie, z wawozów wypełzały cienie tajemnicze. Dusza Kazimierza rwała się do marzeń, lecz—szukał go Dziewiątka i zapytał: czy nie zechce, za parę godzin, pójść na wartę, a jeżeli zechce, kogo wybierze za towarzysza? Był to dowód wyjątkowej uprzejmości ze strony dowódcy.

Kazimierz oświadczył, że na wartę pójdzie z chęcią, a za towarzysza wybiera sobie

Litwina, jeżeli ten się zgodzi. Znalazł Litwina, porozumiał się z nim, poczem obaj dostali pół bułki wybornego chleba sitnego, po kawałku słoniny z papryką i ugotowali sobie duży imbryk wcale dobrej herbaty. Świrski był rozgrzany, syty i zadowolony. Drażniło go to w przyjemny sposób, że pierwszy raz w życiu znajdzie się na prawdziwie niebezpiecznym stanowisku.

O dziewiątej jakiś człowiek z gwałtownymi ruchami zaprowadził ich na strome wzgórze, pomiędzy stare lipy dziwnych form, może pół wiorsty od obozu. Ze wzgórza było widać rozległe jezioro zamrożone, a dalej — równinę, którą przecinała niezbyt uczęszczana droga. Jeszcze dalej ciągnęły się gęste lasy.

— To jest ważne miejsce—mówił przewodnik — niech towarzysze patrzają, bo stąd najłatwiej mogliby nas zagarnąć...

Kiedy ich opuścił, Świrski odezwał się do Litwina:

— Więc nasza kopalnia nie jest bardzo bezpieczna?

— Nazywamy, że to dom nasz—odpowiedział Litwin — ale siedzimy w niej, jak ptaki na gałęzi, dopóki ich myśliwiec nie podejdzie.

— Ludzie jednak dzielnie się trzymają, pomimo niebezpieczeństwa.

— Cóż mają robić?... przecie zebrali się na niebezpieczeństwo. Ale, jeżeli przyjdzie nam tułać się tak jeszcze z miesiąc, a pomoc nie nadciągnie, będziemy musieli napaść jakie koszary i zginąć z honorem. Zima nie żartuje!

Umilkli i przypatrywali się jasnej równinie i otaczającym drzewom. Jedna lipa naga podniosła gałąź, niby palec, który ostrzegł i groził; drugiej konar wygiął się ku dołowi, jakgdyby chciał pochwytać Kazimierza. Świrski otrząsnął się i rzekł półgłosem:

— Czy tylko warty czuwają nad bezpieczeństwem oddziału?

— Gdzieżby zaś!... Co parę godzin z rozmaitych stron ktoś nadbiega. Jedni przynoszą żywność, bieliznę, odzież, jeżeli można, a inni—wiadomości. Kolega-naczelnik słyszał, że kapitan napadł wczorajszej nocy na Józówkę?...

— Nic nie wiem...—odparł Świrski.

— A jakże — śpiewał Litwin — napadł i z monopolu zabrał coś pięćset rubli, a z gminy podobno kilka tysięcy i książeczki paszportowe. Inne dokumenty popalił.

— Rusza się ten wasz kapitan...

— Ba!... urodzony wojownik... Gdyby nie umęczenie ludzi, urządziłby codziennie napad... A jaki surowy, jaki odważny, jaki przeczorny!... O nim wiadomo, że albo zwycięży, albo zginie. I słyszę, że to człowiek prosty, kowal... I jeszcze on sam mówi, jakoby sztuki wojennej uczył się u kolegi-naczelnika...

Świrski przypomniał sobie trzykrotny okrzyk w Leśniczówce: „Niech żyje naczelnik!“ i czuł, że tym okrzykiem, niby łańcuchem, Zajązkowski przykuł go do partyi. W tej chwili Kazimierz śmierci lękał się mniej, niż kiedykolwiek, ale świadomość, że jest tak mocno związany z niezwykłym ban-

dytą, kamieniem padła mu na serce. Inni byli tu ochotnikami, on—więźniem.

Wtem zdaleka... zdaleka... gdzieś za jeziorem i równiną, rozległ się wystrzał, kilkakrotnie powtórzony przez echo. Drugi strzał i—cała salwa, znowu powtórzona przez echo...

— Strzelają?—szepnął Litwin.

— Nawet niedaleko!... — odpowiedział Świrski.

Nowe strzały nieporządne, gorączkowe... nowa salwa i—huk silniejszy od wystrzału armatniego, któremu ze wszystkich lasów odpowiedziały grzmoty.

— Bomba... bomba!... — rzekł Litwin. Ręce drżały mu.

Drugi, niemniej potężny huk... trzeci huk i znowu grzmoty...

— Pewnie kapitan napadł ten oddział, który miał aresztować kolegę-naczelnika—mówił Litwin.

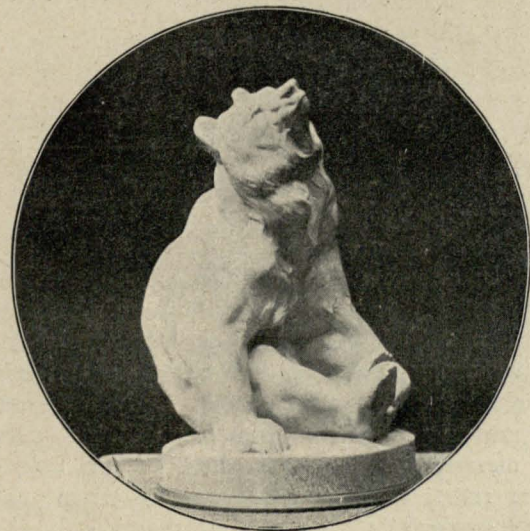
— A pan skąd wie o tem?...

— Zdaje się, że w oddziale wszyscy wiedzą... Dziewiątka mówił...

Na te słowa w Świrskim wybuchło uczucie, graniczące jakby z rozpaczą. Jeżeli Zajązkowski napadł kozaków, którzy poszukiwali go, to znaczy, że Świrski już ostatecznie i nieodwołalnie jest związany z bandytą, którego wprawdzie podziwiał za odwagę, ale jednocześnie czuje do niego głęboki wstręt. Ileż to razy marzył on o tych salwach karabinowych, o nocnych napadach, o grzmocie armatni!... A jakże to, co się dzieje w tej chwili, jest niepodobne do jego marzeń...

Około północy ukazał się Dziewiątka z dwoma towarzyszami, którzy zastąpili Świrskiego i Litwina. Kazimierz od dwudziestu kilku godzin nie spał, toż samo Litwin; ale pewność, że niedaleko miała miejsce potyczka, odpędziła od nich sen, nawet uczucie znużenia.

Tych samych uczuć musieli doznawać i inni partyzanci; gdy bowiem Świrski wrócił do kopalni, nikt nie spał, a prawie wszyscy byli na polance. Pogaszono ogień w jaskiniach, wielu miało na plecach torby i czekało na rozkaz wymarszu. Rozmawiali o potyczce, która była wprawdzie krótka, ale musiała być gwałtowna, i z niepokojem zapytywali jedni drugich: czy oddział Zajązkowskiego nie został rozbity?... (DCN)



NIEDŹWIEDŹ

G. GARDET



„MĘCZENNICZY” KARTONY WITRAŻÓW DLA KATEDRY FRYBURSKIEJ



JÓZEF MEHOFFER

ELIGIUSZ NIEWIADOMSKI:

## JÓZEF MEHOFFER

JAKO MALARZ I DEKORATOR.

2)

Wracam do rzeczy.

Uderzającym zjawiskiem w sztuce współczesnej polskiej jest upadek kultury rysowniczej. Znam nawet zdolnych artystów, którzy prześlicznie wykonają pocztówkę, albo nawet poważniejszy szkic dekoracyjny—ale z chwilą, kiedy wypadnie im powiększyć figurę do naturalnej wielkości, stają się niezaradni, jak dziecko. Inni odczuwają znakomicie ruch i charakter całej postaci—ale nie potrafią narysować ściśle stopy lub dłoni.

Mehoffer jest jednym z tych bardzo nielicz-

nych, dla których ani natura przedmiotu, ani skala nie zdaje się stanowić żadnej trudności. Wychowaniec paryskiej *Ecole des Beaux Arts* — najlepszej na świecie szkoły (o ile chodzi o *formę*), wyniósł on stamtąd ogromną wiedzę rysowniczą. Figurę ludzką stawia w najtrudniejszych skrótach i ruchach z taką łatwością, jakby tu chodziło o wypalenie papierosa. Jedynie artyści są w stanie ocenić, ile charakteru w każdej jego figurze, ile wykwintnej precyzji w rysunku ręki, nogi, kolan, palców, w delikatnych zwrotach szyi lub torsu...

Mehoffer jest jednym z pierwszych rysowników współczesnych. Z polskich artystów żyjących może Jacek Malczewski i Chełmoński, a z nieżyjących—jeden Matejko równie głęboko opanowali formę.

A potem—z jakim wyrafinowaniem głębokiego psychologa oddaje Mehoffer pewne subtelne stany ducha przy pomocy delikatnego ruchu albo wyrazu twarzy. Ekstaza męczenników, niebiańskie uczucia aniołów, wężka Chrystusa, seraficzne zachwyty świętych, delikatny wdzięk uśmiechu Ma-



Karton do witrażu „Zmartwychwstanie” J. MEHOFFER dla kaplicy zamkowej w Gołuchowie

ry, zgroza i pomieszanie, wpływające na twarz Heroda, cała ogromna skala uczuć tak różnorodnych i tak znikomych, że ująć je może tylko przeczulona dusza artysty XX wieku.

Wiele z tych subtelności zapewne ginie dla oka w skutek znacznej odległości, zwłaszcza w witrażach wielkich rozmiarów. Nie znaczy to bynajmniej, że autor zapoznaje dekoracyjne zadanie witrażu. Przeciwnie. Mehoffer jest *przedewszystkiem* dekoratorem, jeżeli można użyć wyrazu „przedewszystkiem”, mówiąc o talencie tak dziwnie wielostronnym i zrównoważonym.

Każda jego praca świadczy, jak artysta ten doskonale odczuwa środek ciężkości zadań dekoracyjnych, konieczność odrzucenia realistycznych efektów na rzecz płaskiej, jednoplanowej kompozycji, ale rozumie to wielu innych ludzi z pewną kulturą artystyczną. Co jest zdumiewające, to nie samo rozumienie, ile ten rys specjalny talentu Mehoffera, ta łatwość odrzucenia kajdan realistycznej logiki, które pętają wyobraźnię i logikę dekoratora... Ta śmiałość, z jaką rzuca on swe postacie na jakieś tło bajeczne, płasko obmyślane, na którym z bezprzykładną fantazją rozsnują i rozwija przebogate, poprostu niebywałe w sztuce współczesnej—motywy zdobnicze.

Jak Midas zamieniał w złoto wszystko, czego się dotknął, tak w cudownym ujęciu rąk tego artysty wszelki przedmiot zamienia się we wspaniały, barwny, stylowo-płaski ornament: kwiaty, włosy, ciemne sylwety ptaków, płomień, tęcze, skrzydła, narzędzia tortur, szaty wspaniale haftowane, jak z bajki, cudne. I wszystko zdaje się pieńić, musuje, jak szampan, wyrzucone z duszy z łatwością, pozornie bez żadnego wysiłku.

Czem np. stają się skrzydła jego aniołów,

motyw ulubiony, częsty i za każdym razem inaczej rozwiązany. Skrzydła!... Mehoffer wie doskonale, że one nie mają służyć do lotu, ale są tylko podniętą fantazją, motywem plam barwnych. Z kilku: trzech lub czterech tonów, przeplatając je wzajemnie w wykwintnej, niesłychanie zręcznej kompozycji, składa cudowne symfonie barwne i linijne. Przyglądam się bliżej: wierzyć się nie chce, że podobny efekt otrzymał tak prostymi środkami! I w tem właśnie ujmuje znamię prawdziwej wielkości.

Jednak pod tym przepychem i fantazją pozorą swobodą kompozycji kryje się niezmiernie głębokie jej obmyślenie, aż do ostatniej kreski. Wszystko to przeszło przez ogień wielu prób i doświadczeń. Nie można ruszyć nic, zmienić jednego tonu, jednego waloru, bez naruszenia harmonii całości, wszystko tak jest powiązane, że zmiana jednej części pociąga za sobą cały szereg daleko sięgających zmian w innych.

Mehoffer ogromnie opracowuje swe witraże. Jeden projekt powstaje w ciągu miesięcy i lat. Jego naiwność to świadoma sobie naiwność człowieka, stojącego na szczycie kultury.

Kiedy się mówi o witrażu, powinno się go ilustrować *barwnymi* pokazami, postawić *barwę* na na pierwszym miejscu, bo ona jest tu treścią i duszą. Bez barwy witraż, najpiękniej narysowany, będzie jałowym—*beztreściwym*.

Ale jakże tu *mówić* o *barwie*?... Przecież tych harmonii słowami wyrazić niepodobna. Klejnoty... drogie kamienie... ognie sztuczne... to wszystko są słowa, co budzą pewne tylko, chaotyczne refleksy, ale nie dają idei samej rzeczy.

Jedno tylko da się powiedzieć: gama Mehoffera jest ogromnie wyszukana i wdzięczna, najczęściej gorąca. Mehoffer przebiega po całej ogromnej skali barw, jaką tylko w szkłe kolorowym można znaleźć. Harmonie jego są nasyczone, żywe i bogate, ale to *bogactwo nie osiąga się przez nieskończoną mnogość tonów, tylko przez genialny rozkład ograniczonej ich ilości*.

Zresztą mówić o tem to rzecz jałowa. Trzeba samemu oglądać oryginały w szkłe, albo z braku szkła—kartony, albo wreszcie barwniejsze od kartonów—szkice. Na ostatniej wystawie Polskiej Sztuki Stosowanej było tych szkiców kilka, i to przepysznych. Wyróżniam zwłaszcza dwa, przeznaczone dla kaplicy S-to-Krzyskiej na Wawelu.

Jak je nazwać—nie wiem... „Droga krzyżowa...” ale mniejsza o tytuł.

U dołu, wśród jakiegoś lasu, który jest jedną symfonią ciepłych tonów szafirowych, błękitnych, zielonych, ametystowych—ciągnie procesja: królowie w purpurowych płaszczach, nędzarki, zakonnice, rycerze w zbrojach, pochyleni, idą, dźwigając krzyże, po bokach dwa anioły, w ciemnej o pawich odbłyśkach szacie, smutnie patrzą na tę procesję krzyżową.

Pas środkowy: na pierwszym planie cesarowa Helena w przepysznym bizantyjskim stroju, potem ciemna sylweta krzyża, za nią Chrystus w chwale, w zielonawych otęczach, bliżej aniołowie i święci w jasnych, cudownie barwnych szatach...

Jeszcze wyżej jedna czarowna orgia barw gorących, z kwiatowych motywów wysnutych, w pośrodku kłęczy anioł skrzydlaty.

Drugi szkic w podobnym charakterze.

Oba są cudowne bez zastrzeżeń. Mimo całą trudność, jaką miał autor z krótkim, ciężkim kształtem okna i z brzydką figurą jego lasek. Te szkice nie wahamy się postawić obok najpiękniejszych okien dla Fryburga.

Przytaczam je tem bardziej, że jeden z nich każdy może obejrzyć w niezłej kolorowej pocztówce, wydanej przez firmę J. Czarnecki w Wieliczce.



„Caritas” witraż z mauzoleum J. MEHOFFER rodziny Grauer w Troppau (Śląsk)

Ale szkice nie podobały się. Komu? Ks. Puzynie, czy hr. Lanckorońskiemu, czy wreszcie jakiemu „komitetowi”. Nie wiem. W każdym razie nie podobały się tym samym oczom, co tolerują w katedrze wawelskiej okno Ś-go Stefana, Ś-tej Katarzyny i Matki Bożej, a przedewszystkiem świeżo wprawiony potworny poprostu witraż p. Makarewicza, *Kadłubek*, ostatni wyraz nieudolności kompozycyjnej w liniach, walorach i barwach.

Poprostu oczom się nie chce wierzyć. Do tego samego okna robił szkic Mehoffer, szkic, cośmy niedawno widzieli na wystawie Polskiej Sztuki Stosowanej. Szkic bardziej może obrazkowy, niż inne jego prace, ale mimo to prześliczny. Więc odrzucono go po to, by zeszpecić katedrę takim łachem!

Okno p. Makarewicza zasługuje na uwagę jeszcze z innego względu. Kiedy odrzucono szkic Mehoffera, ks. k. Puzyna zwrócił się do p. Edwar-da Trojanowskiego z propozycją wykonania projektu witrażu. P. Trojanowski odmówił. Z podobnym wynikiem zwracano się do p. Uziębły. Obaj ci, zresztą zdolni artyści odmówili nie ze względów koleżeńskich, ale dlatego, że byli świadomi, że żaden z nich równie pięknego, jak Mehoffer, projektu nie zrobi. Z miłości własnej i z kieszeni własnej zrobili ofiarę *dla sprawy*... Chodziło im o katedrę, nie o siebie. I postąpili pięknie.

P. Makarewicz podobnych racyi nie uznał, czy nie zrozumiał. No i ozdobił Wawel oknem, które w interesie katedry należy czem prędzej wyrzucić.

Tylko jest niepojęte, jak można je było przyjąć. Bo trudno jest zrobić wybór między dwiema rzeczami mniej więcej dobrymi lub liche-



Szkic do witrażu, przeznaczony do kaplicy św. Krzyża na Wawelu J. Mehoffer

mi. Ale jeżeli jeden projekt jest prześlizny, a drugi niezdarne nawskroś, to doprawdy trzeba żeby jakiś uwiad starczy odebrał sędziom zmysły, smak, rozum!

Ach! wiele jest chamstwa na świecie, całe oceany. Znamy je, znamy... Ale są rzeczy, z którymi pogodzić się niepodobna, bo one same do gardła skaczą.

Tylko u nas tych rzeczy za dużo... za dużo.

Więc po to wielki artysta, w bólach i radościach twórczych—wydaje na świat klejnoty bezcenne. Po to? Na urągawisko zgnilcom? Grabarzem sztuki naszej, jedynej rzeczy, z której jeszcze możemy być dumni, my—nieszczęsny, my—

spowiewany i spodłony naród. Bo i cóż my mamy prócz tej garści talentów? Prócz tych kilku proroków, geniuszów nie słuchanych — zdolnych stworzyć rzeczy nieśmiertelne i dać nowy, wielki — może ostatni blask polskiemu imieniu... Aby, schodząc ze świata — jeżeli mu zejść sądono, pozostawiło po sobie coś więcej prócz śwedu i dymu popiołów.

Z prac witrażowych, wykonanych przez Mehoffera, wyliczę tu duże okno w katedrze lwowskiej (Kazimierz Wielki jako fundator katedry), okno w kaplicy Szafranców na Wawelu, cztery maleńkie, ale prześlizne okna do mauzoleum rodziny Grauer w Opawie, sześć okien do kaplicy zamkowej w Baranowie (Galicya); trzy okna do kościoła w Jutrosinie (W. Ks. Poznańskie), okno zamku w Gołuchowie, okno *Vita Somnium breve* dla krakowskiej fabryki witraży. Mimo całą piękność są to rzeczy stosunkowo drobne. Największym dziełem Mehoffera są i zapewne pozostaną witraże do katedry Fryburskiej.

Jest ich dotąd pięć, wszystkich ma być ośm. Prócz

tego świeżo uchwalono 3 okna do prezbiterium również powierzyć Mehofferowi. Jeżeli weźmiemy pod uwagę olbrzymie wymiary tych okien i gruntowność, z jaką Mehoffer opracowuje każdy witraż, to pojmiemy, że to jest kwiat jego życia. Jak Ghiberti poświęcił swoje—słynnym *porte del paradiso*, tak Mehoffer najpiękniejsze lata i największe wysiłki energii twórczej oddaje tym pomnikowym dziełom. W przyszłości Fryburg stanie się miejscem pielgrzymki artystów i krytyków całego świata, a ktokolwiek zechce studyować dzieła polskiego artysty, ten musi go szukać nie w Krakowie, nie w Warszawie, nie w Płocku—ale w dalekiej szwajcarskiej ziemi.

moment z opowiadania ś. p. Jana. Ojciec odprowadził go do pierwszej figury przy drodze, pożegnał, pobłogosławił, polecił Bogu i potem stał, stał, zapatrzony przy figurze dopóty, dopóki obaj nie znikli sobie z oczu przesłoniętych łzami.

A chłopiec z tobołkiem na plecach, z kilkanaście czy kilkunastoma złotymi w kieszeni, z nadzieją w myśli, z wiarą w sercu, z wolą w duszy, szedł prosto przed siebie gościńcem ku Warszawie. Po drodze spotkał frachtową furę żydowską. Przysiadł się za groszowe wynagrodzenie. Był to dlań początek kariery. Stara Żydówka, wyrozumiały z rozmowy, dokąd on i po co dąży do stolicy, narała mu protekcję. Co więcej: sama doprowadziła go do znanego podówczas fabrykanta czy też składnika fortepianów, który, poznawszy się na jego zdolnościach, dał mu u siebie śniadania i stały nocleg w jednej z licznych pak od fortepianu, stojących w składzie, a nadto sam zaprowadził go do Instytutu Muzycznego. Dyrektorem był powówczas Apolinary Kątski, a nauczycielem gry fortepianowej i harmonii znakomity organista i muzyk, Freyer. Była to jedyna protekcja i pomoc w życiu ś. p. Jana Kałużyńskiego, gdyż o obiady w Towarzystwie Dobroczynności sam się już postarał.

Jak długo korzystał z pomocy pierwszego swego protektora, nie pomnę; dość jednak, iż o niej przed kilkunastu jeszcze laty opowiadał mi z gołąbią prostotą i serdeczną wdzięcznością. Niedługo jednak trwać ona musiała, gdyż w pełni studyów nad grą organową i kontrapunktem mieszkał w Towarzystwie Dobroczynności, ku wielkiemu niezadowoleniu dwóch starców, współtowarzyszów izby wspólnej, którzy wciąż się nań skarżyli, iż, zamiast spać spokojnie, odrabiał do późna w nocy zadania kontrapunkcyjne przy rażącym dla nich świetle łójówki.

Natura poskąpiła mu skrzydeł fantazyi twórczej, a może i łatwości w zdobyciu środków technicznych zarówno w kompozycji schematycznej, jak w grze organowej. To też drogę swego zawodu umiłowanego zdobywał pracą, pracą żelazną a tak wytrwał, iż wszelkie przeszkody padały z czasem przed jej naporem.

I skończył chlubnie konserwatorium w r. 1867, jako organista doskonały, a teoretyk wykwalifikowany: potrafił nie tylko grać biegle i radzić sobie z liturgią, ale nadto improwizować na zadany temat. Wnet też po skończeniu konserwatorium pod kierunkiem Freyera otrzymał najpierw miejsce organisty przy kościele Karmelitów na Lesznie, a następnie posadę korzystną nauczyciela muzyki i kierownika chóru w seminarium nauczycielskim w Łęczycy. Tu jednak nie bawił długo. W rok po nominacji kazano mu wykładać w języku państwowym i *czuwać nad prawomyślnością* uczniów. Porzucił seminarium łeczyckie i osiadł z powrotem w Warszawie, jako organista w innym kościele. Czy na długo? Bynajmniej.

Są natury, skazane od urodzenia na tęsknotę wieczną światła, na pożądanie wiedzy, na łaknienie bogactwa duchowego, i te pierwszą lepszą zdobyczą w życiu zadowolili się nie mogą. Jedną z takich był właśnie ś. p. Jan. Tyle tylko posiadał w Warszawie, ile mu potrzeba było na zdobycie przy wielkiej pracy i jeszcze większej oszczędności kilkuset złotych na wyjazd do Pragi czeskiej dla rozszerzenia środków technicznych gry organowej i pogłębienia wiedzy specjalnej.

W Pradze, skąpiąc sobie na najniezbędniejsze potrzeby życia, a pracując dorywczo dla lichego zarobku przy miejscowych organistach, przebył dwa lata i w ciągu tych dwóch lat zdobył sobie sympatyę i uznanie profesorów, a wraz i chlubne świadectwo ukończenia Konserwatorium w zakresie zarówno wyższej gry organowej, jak i całkowitego kursu kompozycji.

## A. SYGIETYŃSKI: ORGANISTA WSPOMNIENIE.

Punktualnie o godzinie 3 popołudniu w dniu 4 listopada wyruszył z kościoła katedralnego kondukt żałobny ś. p. Jana Kałużyńskiego, złożony z przyjaciół wszystkich niemal sfer społeczeństwa, kolegów szkolnych, towarzyszy pracy, uczniów i uczennic, zrazu liczny, bardzo liczny, potem coraz szczuplejszy, aż w końcu za szczupły, jak na muzyka niezwyklej miary, jak na wieloletniego pracownika kościoła, jak na pierwszego organistę w kraju, jak na b. profesora konserwatorium, który wykształcił cały zastęp poważnych specjalistów w swoim zawodzie. Nie roilo się od uczniów za jego trumną, a i z grona profesorów, b. kolegów, doszło za nią do cmentarza powązkowskiego zaledwie pięciu czy sześciu.

I ja byłem między nimi i po drodze bądź sam rozpamiętywałem, bądź też słuchałem, co inni opowiadali o życiu tej dziwnie sympatycznej, jasnej postaci, od której zdala już bił blask typu.

Ś. p. Jan Kałużyński urodził się w Lublinie, dnia 24 czerwca, R. P. 1843 go. Ojciec, rzemieślnik, sposobił pierwotnie syna do zawodu, nie mającego zgoła nic wspólnego ze sztuką. Lecz ś. p. Jan, małym jeszcze pacholęciem będąc, raz w raz uciekał z warsztatu do kościoła i tam, pod kierunkiem miejscowego organisty-samouka, urabiał sobie rękę do gry na organach. Umysł jego kontemplacyjny skupiał się w tajniach kultu, a dusza, rozdźwięczona głosem wewnętrznym, rwała się do sztuki przeczystej na chwałę Bożą. Coś ciągnęło ją, wołało do kościoła, do muzyki kościelnej.

Lecz środowisko Lublina nie wystarczało chłopcu, przeczuwającemu większe zasoby świata i życia artystycznego: postanowił udać się do Warszawy. I ojciec, po kilku latach bezskutecznego oporu, uległ jego woli i wypuścił go z pod kurateli swojej. Nie tylko. I jest to najrzewniejszy



I wtedy już żył jedynie kościołem, a raczej sztuką swoją, muzyką organową. To też do świata uciech materialnych nic go nie ciągnęło. Pewnego jednak razu zdarzyła mu się w Pradze przygoda, o której opowiadał z wielkim humorem. Był już młodzieńcem dojrzałym, nie olbrzymiej wprawdzie postawy, ale wielce wydatnym z powodu typowo prawidłowych, pięknych a wskroś polskich, szlacheckich rysów twarzy, modrego oka i wielkich sumiastych wąsów. Rzecz prosta, iż wśród Czechów tem bardziej zwracał na siebie uwagę. I zdarzyło się, iż pewnego wieczoru siedział samotny a smutny przy stoliku w wielkiej piwiarni, pełnej ludzi rozbawionych, i skąpymi łykami ciągnął piwo wciąż z jednej i tej samej szklenicy. Zauważył to z boku jakiś Czech dobroduszny i przysunął się doń ze swoją szklenicą. Zawiązała się rozmowa, znajomość okazjna, sympatya; potem nastąpił poczęstunek, toast jeden i drugi na cześć Polski i Czech, wreszcie pożegnanie serdeczne, przyczem kompan przygodny wsunął mu w rękę jakieś kilka złotych reńskich.

— A to co?! — wykrzyknął Kałużyński.

— *Maličkost...* pożyczka...

— Ależ nie mam z czego oddać...

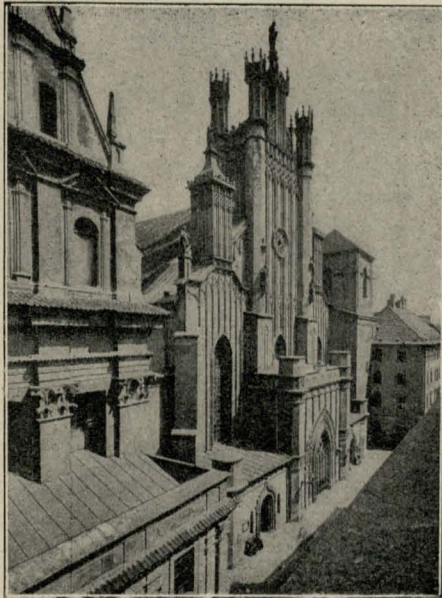
— *Dáte mne je podle možnosti, jak budete varhanikem* (organistą przy katedrze)...

— Nie mogę...

— *Vezměte a ne buďte smutny...*

I możliwość nie dała czekać na siebie długo. Wnet po tem, po otrzymaniu dyplomu z Konserwatorium praskiego, dostał się na posadę w klasztorze benedyktynów w Rajhradzie na Morawach. Było mu tam dobrze i błogo. Żył dostatnio i spokojnie, a duszę kąpał w muzyce organowej, której znajomość i stylizację doprowadził do mistrzostwa. Ziarna nauki Freyera w Warszawie, a Skuherskiego w Pradze padły na grunt żyzny.

Lecz ś. p. Jan Kałużyński nie zbawił w Rajhradzie dłużej dwóch lat. W sercu jego, prócz kultu muzyki, mieściło się inne jeszcze uczucie, — uczucie bezwiedne, wrodzone a nieprzeparowane. Zateśknił za krajem, za swoimi, za otoczeniem nieszczęśliwych, a mocnych w nieszczęściu! Na nic rady, przedstawienia i namowy pocziwych



Katedra Św. Jana w Warszawie.

ojców benedyktynów. Porzucił szczęśliwość, dostatek, spokój i w r. 1875 znalazł się na bruku warszawskim. W 4 lata potem został organistą przy katedrze, a w r. 1896 profesorem wyższej gry organowej w Konserwatorium.

I tak na pracy ciężkiej, niewdzięcznej materialnie, wyczerpującej fizycznie, wymagającej ustawicznej czujności od godziny 6 z rana do późna w noc, zeszyły mu lata dla dobra sztuki i rodziny. Pod koniec jednak życia, nabawiwszy się reumatyzmu dolegliwego w stawach, musiał ustąpić ze stanowiska profesora (w r. 1905), a wreszcie, całkiem sparaliżowany, zaprzestał od Wielkiej Nocy r. b. funkcji organisty czynnego, rzecz dlań tem przykrejsza, iż i tak przez cały ciąg pobytu w Warszawie nie mógł w pełni, a nawet dostatecznie użytkować swej znajomości liturgii i umiejętności stylowej gry organowej. A była to gra istotnie stylowa, zastosowana do charakteru kompozycji religijnych, wolna wszelkiej przesady i wszelkich efektów niewczesnych, wskroś poważna, prze-

jęta głębią kontemplacji, a mimo to mistrzowsko wyrównana w szczegółach technicznych, zadziwiająco płynna w przelewie (*legato*) z dźwięku w dźwięk.

Tak ś. p. Jan Kałużyński urodził się muzykiem, urobił się na typowego i stylowego organistę, zajął stanowisko, odpowiednie swemu uzdolnieniu i wykształceniu, — i wobec małych wymagań artystycznych duchowieństwa, a mniejszych jeszcze w tej mierze potrzeb społeczeństwa, przeszedł drogę swego zawodu, nie wyzyskawszy całego zasobu z trudem osiągniętego przygotowania. W pierwszym kościele kraju nie dano mu pola w zakresie muzyki kościelnej.

I była to jedyna skarga w jego życiu zbożnym, równym, pracowitem, twardym, a kryształowoczystym, które wykuł sobie sam, własnymi rękami, żelazną wolą, niby górnik niezmożony w skale. Poza tem jednak nic nie zmąciło mu pogody duszy, chyba troska, zali zdołała przy miernem uposażeniu, zali zdąży przed śmiercią dać dwóm swym ukochanym i kochającym go synom wykształcenie uniwersyteckie — wykształcenie, którego dostojność sam przeczuwał jeno. I dał im. To też spokojnie dokonywał pięknego żywota, wierząc, iż synowie jego nie sprzeniewierzą się również jedynej dźwigni życia, wierze w ideały uczuć szlachetnych i wiedzy wzniosłej, bo te im wraz z krwią i wzorem życia swego przekazał.

Lecz, o ironio losu! Ani ten muzyk-entuzjasta zażył czaru umiłowanej przez się muzyki kościelnej, ani ten kochający ojciec doczekał się przed śmiercią ostatniego uścisku pożegnalnego synów swoich! Odcięci przymusowo od kraju, nie mogli go oni własnymi rękami oddać matce-ziemi, którą on narówni z nimi i z muzyką kochał.

Cześć tej postaci o kształtach z brązu, duszy entuzjastycznej, a sercu gołębiem! Niechaj ziemia, którą użyźniał szczerze znojnym potem swego pogodnego czoła, będzie mu lekką i oby pamięć jego pracowitego żywota, ze wszech miar godnego czci i podziwu, przeszła wraz z temi słowami bezpretensjonalnego a serdecznego wspomnienia do potomności!

## ARTUR GÓRSKI: DZIEŃ POWSZEDNI.

Na tłum zroszonych liści gruszy  
Poranne słońce światłem prószy,  
A grusza sny ostatnie strząsa,  
Oddechu fale bierze w łono  
I, tętniąc w żyłach krwią zieloną,  
Rozruchem liści drży i płąsa.

Przez okno patrzę w szmaragd darni,  
W sad, igrający w skier topieli,  
I słucham, jak się we mnie marni,  
Jak się spłomienia i popieli  
Tęsknoty błędnej las poszumny,  
Nadziei własny dom cedrowy,  
I patrzę długo — bezrozumny —  
W marzenia mojej ściętej głowy.

Zasiałem żyta łan przestronny;  
Cały on z wiosną zakwitł krwawo  
Od maków, co je wicher gonny  
Nawiał z dalekich pól kurzawą.

I przyszedł Kosiarz z dziką pieśnią,  
Położył kłosa ostrza błyskiem,  
Że, gdy dziś chleb mój łamię z pleśnią,  
Stają się krwawych snów igrzyskiem.

= Spadła korona z naszej głowy,  
Ustało wesele serca naszego —  
Żalobny okręt — ocean płowy —  
Oczy szatanów łupu strzegą.

Zamiast sztandaru — inna winda,  
Trup na niej w takt z humorem dynda;  
Statek się zwolna, tańcząc, grąży,  
Rzeżko pokrzyka Mistrz-chorąży.

Brat-wicher statek w tan okręca,  
Brat-piorun z chmur batutą miga —  
Śmierć-biskup krzyżem tłum zachęca,  
Gwiazda-lucifer skrzy, jak strzyga...

Takiż to los twój, statku śmiały!  
Gdzie grom twych armat — gdzie  
hejnaty —?  
Zgubionyś własnych gwiazd odwagą —  
Jak teraz żyć pod twoją flagą...

Słońce mi wpada na pokoje,  
Na oczy — usta — myśli moje,  
Słońce się bystrą smugą sieje

Przez niespokojne słów rozchwieje,  
Ale zły mrok, a tem zawziętszy,  
Im więcej blasku weźmie za tło,  
Ściemnia się w duszy mej i piętrzy,  
Jak morze pod miesięczne światło.

Niechże więc buja, niech się wzdyma,  
Niech o mój okręt szturmem bije —  
Kocham dziś jego głos olbrzyma  
I jego wichry-walkiryje...

Przebyłem ciemne Orku strugi,  
Gdzie mrze i spada z nas co lichsze,  
I dziś zrodzony po raz drugi  
Stwardniałem skrzydłem piłę w wicherze.

Między ojczyzną mojej duszy  
A starym światem — barwne szyby  
Już pękły w ogniu, już się kruszy  
Wszelkie półkłamne na nich NIBY;

Tak to z popiołów, w tęsknot nocy  
Wyrósł winograd nowej mocy —  
(Bo, aby bezzawodne woleć,  
Trzeba zawodne wpierw przeboleć).

Spadła korona z naszej głowy —  
Więc ze krwi w żyłach weźmiem złota,  
I płaszcz ubarwim purpurowy,  
I stali weźmiem z niej do młota;

A potem serc najdroższych rubin  
W nowej korony wprawim skronie,  
I tak zostanie — — aż Cherubin  
Odda ją w Króla-Ducha dłonie.

I znowu Słońce, moje bóstwo,  
Zwycięża duszę światła gromem —  
Budzi w niej orłów gwarne mnóstwo,  
Poi błękitem — i ogromem.

A jego światłość najdumniejsza,  
Gdzie padnie, mrok i lęk umniejsza,  
Napełnia serce, tworzy w ciszy  
I słyszy pieśń mą ranną, słyszy...

Ponad przepaścią, z krzykiem w oczach,  
Przez własne losy, w podobłoczach,  
Myśl obleciała krąg — i wraca;  
Znów dzień powszedni — nowa praca.

# NAJPIĘKNIEJSZE.

Najpowszechniej przyjęte określenie piękności opiewa, że piękność stanowią zalety zewnętrzne, najbardziej zbliżające się do ogólnie przyjętej miary średniej. Oko zbyt wielkie, nos zbyt długi lub krótki, usta zanadto wycięte rążą, choćby nawet były kształtne, bo tak w piękności, jak i w brzydocie, przesadzić łatwo.

— Kwiaty te są zbyt piękne, aby były prawdziwe! — zawołała artystka pewna, oglądając bukiet, wyrobiony z wosku, i miała słuszną zupełną. Kobieta o pici zanadto gładkiej budzi podejrzenie.



LINA CAVALIERI.

Byłoby jednak błędem mniemać, że przytoczone powyżej określenie piękności jest ściśle. Wszak nie bez racji powtarzamy często: nie to ładne, co ładne, lecz to, co się komu podoba. Kto zaś zwiedzał uważnie muzea sztuki, zauważył bez wątpienia, że typ piękności kobiecej ulega z biegiem wieków wahaniom licznym.

Bo też istotnie piękność to pojęcie bardzo elastyczne, niezmiernie trudne do zawarcia w pewnej, ściśle ograniczonej definicji.

Wszak istnieją piękności, działające kojąco, kontemplacyjnie na umysł, gdy tymczasem inne podniecają żądze zmysłowe. Nie zapominajmy również, że rysy i inne właściwości fizyczne, wspólne danym narodom, muszą być uwzględniane w ich typie piękności.

Niemniej istnieje zdanie, że piękną dziewczynę cały świat uzna za piękną. Ale i tutaj nie obejdzie się bez zastrzeżeń. Boć trudno przypuścić, aby Wenus hotentocka podobała się nam tak, jak Wenus z Milo; aby typ piękności eskimoskiej sprawił wrażenie na Arabie lub też Murzynie. Piękna Angielka podobać się będzie bez wątpienia, tak w Polsce, jak i w Hiszpanii, uważana zaś być może za brzydką w Afryce lub Azji.

Chcąc zatem osądzić, który naród wydaje kobiety najpiękniejsze, musimy dowiedzieć się najpierw, jaką z kobiet swoich uważa za najpiękniejszą. Przed laty kilkunastu porównanie takie byłoby prawie niemożliwe. Dziś jednak, dzięki w prowadzeniu w użycie powszechne pocztówek ilustrowanych, możemy dokonać tego bez trudności.

Co prawda, większość tych pięknych kobiet, uwiecznio-

nych na pocztówkach, należy do światka teatralnego, czyż jednak teatr nie był i nie jest wszędzie głównym targowiskiem piękności? Czyż kinkiety teatralne nie pociągają wszędzie siłą magiczną przedstawielek pici pięknej najbardziej urodziwych i kształtnych, jak również najbardziej utalentowanych z warstw średnich społeczeństwa?

Nie dziw też, że, gdy niedawno jedno z pism angielskich zwróciło się do fabrykantów pocztówek w różnych krajach z zapytaniem, które z piękności kobiecych, odtwarzanych na pocztówkach, cieszą się największym uznaniem publiczności, to w odpowiedzi otrzymało wyłącznie portrety gwiazd teatralnych.

I tak we Włoszech największym uznaniem cieszy się pocztówka, przedstawiająca znaną śpiewaczkę, Linę Cavalieri. Urodzona w Rzymie, Cavalieri posiada wszelkie cechy piękności włoskiej tak w twarzy, jako też w kształtach i ruchach, czarujących wdziękiem.



ARLETTE DROGÈRE.

Prawdziwą sprzeczność z tą pięknocią stanowi ulubienica publiczności francuskiej, panna Arlette Drogère, wesoła, figlarna, pełna szyku i zacięcia paryskiego.

Anglicy upodobili sobie pannę Gabryelę Ray, młodzieńką adeptkę sceny, o rysach delikatnych i spokojnych, bez śladu zuchwałości lub nawet filuteryi, bo też cechy te są obce pojęciom angielskim — piękności kobiecej.

Kuzynom Anglików, Amerykanom północnym, podobają się greckie rysy twarzy i cudne,



EMMA WEHLEN.

pełne zadumy oczy panny Maksymilianny Elliot do tego stopnia, że pocztówek, przedstawiających jej portret, sprzedano w Stanach Zjednoczonych dwa razy więcej, niż wszystkich innych piękności razem wziętych. I przyznać należy gust Amerykanom, pomimo zbyt wielkiego ucha panny Elliot, które piękność ta zakrywa dyskretnie włosami.

Dla określenia różnic charakteru, istniejących pomiędzy przedstawicielkami Niemiec i Hiszpanii, dosyć porównać portret piękności hiszpańskiej, Maryi Guerrero, z portretem ulubienicy publiczności niemieckiej, Emmy

Wehlen. U pierwszej, pomimo oczu marzących, czuć ogień, stanowczość, ruch silny, jak ruchy kacuczcy, lub joty, gdy u drugiej znać miękkość, wesołość, pozę i skłonność — do otyłości.

W ostatniej wreszcie załączonej fotografii, odtwarzającej piękność japońską, Sanjadę, trudno, zaprawdę, dopatrzeć się rysów, któreby zadowolili estetę europejskiego, choć całość jest wdzięczna i sympatyczna, wywołująca wrażenie takie, jakie sprawia widok ładnego, miłego dziecka.



MAKSYMILIANNA ELLIOT.

Szkoda, że do kompletu brak typu piękności polskiej. Nie wątpimy, że zakasowałby wszelkie inne, ale w tem rzecz, że w oknach naszych składów pocztówek widnieją tylko piękności zagraniczne. O swoje nie dbamy.

S. B.

WŁ. ROGOWSKI:

## Cicho szmerzą liście żółtkłe.

Po piaskowem, po podlesiu tęskny płacze wiatr jesienny...

Biada nad wrzosami...

Cicho szmerze w liście żółtkłe...

Czemuś głowinę zwiesiła na piersi?...

Czemu twe usta drgają cichą skargą?...

Podnieś powieki ciężące, zwisłe, — niech twe oczęta spojrzą tęskniące na rozkwieconą wrzosem polaną, na białe brzozy w listowiu żółtkłem.

Patrz... Ostatni przyleciał motyl... W barwione bije skrzydełka...

Patrz... Wiatr zawodzi, i drzewa w zadumie liście żółtkłe ronią bez skargi... A potem cicho idzie Zaduma i kądziel pajęczą mota — babie-lato.

Niech twe oczęta spojrzą tęskniące na słońcem skąpany wrzosów lila kwiat.

Potem, w deszczową otuloną chustę, wiodą Zadumę Wiatry rozplakane...

Patrz...

Czemuś głowinę zwiesiła na piersi?...

Czemu twe usta drgają cichą skargą?...



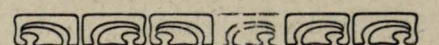
GABRYELA RAY.



MARYA GUERRERO.



SANJADA



A naczelnik skończył nakazująco:

— Uchwalcie zaraz podatek, bo nie mam czasu.

Tłum się zakolysał, poszły trwożne i ściszone szepty.

— No co, głosujemy na szkołę? Mówcie, Płozka? Jakże zrobim?... Kajże to Grzela? Przykazuje głosować! Głosujmy, ludzie, głosujmy!

Wrzało coraz głośniejsze, gdy Grzela wystąpił i powiedział śmiało:

— Nie uchwalimy!

— Nie chcemy! — wsparło go ze sto krzyków.

Naczelnik zmarszczył się groźnie.

Wójt struchlał, a pisarzowi jaże spadły z nosa okulary, jeno Grzela się nie strwożył, wparł w niego harde ślepie, chcąc jeszcze coś dodać, gdy stary Płozka wystąpił, iskłonowszy się nisko, zaczął pokornie:

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika, co rzeknę, jako to po swojemu miarkuję: szkołę juścić uchwalić uchwalim, ale widzi się nama, co za dużo złoty i groszy dziesięć z morgi. Czasy teraz ciężkie i o grosz trudno! To jeno chciałem rzec.

Naczelnik nie odpowiedział, więc ośmielony tem wójt siarczyście przemawiał za szkołą; po nim i jego kamraty parły do tego samego, młynarz zaś pyskował najzardziej, nie zważając na ostre przycinki Grzelowych stronników, aż wreszcie zgniewany Grzela zawołał:

— Przelewamy jeno z pustego w próżne.

— A niby jaka to ma być szkoła?

— To my akuratnie takiej nie potrzebujemy!

— Moje uczyły się bez trzy roki, a też ni be, ni me.

— Ciszej, ludzie, ciszej!

— Rozbrykały się barany.

— Pyskacze juchy, nową biedę wypyskują la wszystkich.

Pokrzykiwali jeden przez drugiego, że uczynił się sroggi gwar, każdy bowiem dowodził swojego i przepierał drugich, rozgrzewali się coraz barzej, rozbili się na kupy, i wszędy zawrzały spory a kłótnie, zwłaszcza Grzelowe stronniki pyskowały najgłośniejsze i najzawzięciej, powstając przeciw szkole. Napróżno wójt, młynarz i gospodarze z drugich wsi przekładali, prosili, a nawet i strachali Bóg wie czem, większość srożyła się coraz zuchwalej, wygadując, co jeno komu ślina przyniesła.

Zaś naczelnik szeptał cosik z pisarzem, dając się im wygadać dowoli, a kiej mu się widziało, co mają już dosyć płonego szczerkania, kazał zadzwonić wójtowi.

— Cicho tam! cicho! słuchać! — spokoili sołtysi.

— Cicho, psiekrwie! — kłął wójt, na darmo dzwoniąc.

— Ty kto takoj? — spytał naczelnik rozwrzeszczonego Antka.

Zadrzał, ale rzekł śmiało, wskazując papier, leżące na stole.

— Tam stoi napisane.

Naczelnik pogadał cosik z pisarzem, a ten pokrótce ogłosił: jako Antoni Boryna, pozostający pod śledztwem karnem, nie ma prawa brać udziału w zebraniu gminnem.

Antek poczerwieniał z gniewu, lecz, nim się zebrał na słowo, naczelnik wrzasnął:

— Poszoł won — i wskazał go oczami strażnikom.

— Nie uchwalajta, chłopcy! prawo za nami! nie bójta się niczego! — jeno odkrzyknął zuchwale.

I odszedł wolno ku wsi, spozierając na strażników, kiej wilk na kondle, że ostawali coraz dalej.

Ale w gromadzie zagotowało się zagnęła, kieby w tym kotle, wszyscy naraz zaczęli prawić, krzyczeć i sprzeczać się zajadle, że już nie dosłyszał nikogo, a jeno pojedyncze słowa klątw, pogróż i przekpiwań lały nad głowami, kiej kamienie. Jakby ich zły opętał, tak się wydzierali zapalczywie, a nikt nie poredził wyrozumieć, skąd to przyszło i la czego?

Spierali się o szkołę, o Antka, o wczorajszy deszcz, kto zesłoroczne szkody przypominał sąsiadowi, kto folgę jeno dawał wątrobie, kto zaś la samego sprzeciwu się kłyżnił, że powstał taki męt, taki wrzask i zamieszanie, co się już widziało, jako leda chwila wezmą się za łby i orzydła. Probowali spokoić Grzela, probowali drugie, nie przemogli jednak opętania. Wójt dzwonił, jaże mu drętwiały kulasy, przywołując do porządku, i takoz na darmo. Kiej te rozjuszone indory skakały sobie do oczów, ślepe już i głuche na wszystko.

Dopiero któryś ze sołtysów jał walić kijem w pustą beczkę, stojącą pod okapem, jaże zahuczwała, kiej bęben, wtedy ludzie oprzytomnieli nieco, ścisząc się nawzajem.

Naczelnik, nie mogąc się doczekać cichości, zakrzyknął zgniewany:

— Cicho tam. Dosyć tej narady! Głosować a prędko.

Pisarz zaczął sprawdzać obecnych, że co trochę ktoś odkrzykiwał:

— Jest! jest!

Zaś po sprawdzeniu wójt wlał na stół i zakomenderował:

— Kto za szkołą, niech przejdzie na prawą stronę i podniesie rękę.

Sporo przeszło, ale dużo więcej narodu ostało na miejscu, naczelnik przykazał, aby la sprawiedliwości głosowali imiennie.

Strapił się tem Grzela, dobrze rozumiejąc, że, skoro każdy zosobna pójdzie głosować, to nie będzie śmiał się przeciw.

Ale już nie było nijakiej zarady. Pomocnik zaczął wywoływać, i każdy szedł kolejną, posobnie, a pisarz przy nazwisku znał kreskę, jeśli był za szkołą, lub robił krzyżyk, gdy się jej przeciw.

Długo się wlekło, gdyż ludzi było chmara, lecz w końcu ogłosili:

— Dwieście głosów za szkołą, osiemdziesiąt przeciw.

Grzelowi podnieśli wrzask.

— Na nowo głosować!

— Ja mówiłem: nie, a postawił mi kreskę! — wydierał się któryś, a za nim wielu świarczyło to samo, zaś gorętsi jęli się skrzykiwać.

Szczęściem, co dworski powóz zajeżdżał przed kancelaryę, więc ludzie chcąc niechcąc musieli się podsuwać na boki, zaś naczelnik, przeczytawszy list, jaki mu podał lokaj, oznajmił uroczyście:

— Tak, bardzo dobrze, szkoła w Lipcach będzie.

Juści co nikt i pary z gęby nie puścił, stali, kiej mur, patrząc w niego spokojnie.

Podpisał jakieś papiery, wsiadł do powozu i ruszył.

Kłaniali mu się pokornie, ani spojrzali na kogo, ni kiwnął głową, a pogadawszy jeszcze ze strażnikami, skręcił na boczną drogę ku Modlickiemu dworowi.

Patrzyli za nim czas jakiś w milczeniu.

Grzela jeno westchnął, spojrzął po gromadzie i szepnął cicho:

— Przegralim dzisiaj, trudno.

— Boją się bele czego.

— Moiściowy, a jaki to człowiek, nawet prawo ma se za nic.

— Juści, przeciek prawo pisali la nas, a nie la siebie.

Jakiś chłop z Przylęka podszedł, skarżąc się przed Grzelą.

— Chciałem z wami, ale jak me prześwidrował ślepiami, tom języka zapomniał, i pisarz zapisał, jak mu się spodobało.

— Tyla było oszukaństwa, że można by zaskarżyć uchwałę.

— Chodźta do karczmy. Niechta siarczyście zatłuką — zaklął Mateusz i, odwróciwszy się do gromady, zakrzyknął: — Wiecie, ludzie, czego wama naczelnik zapomniał powiedzieć? A tego, żeśta kundla i barany. I dobrze zapłaciła za posłuch, ale niech was łupią ze skóry, kiejśta głupie.

Zaczęli się odcinać, ktoś nawet pysk wywarł na niego, lecz zmiłkli, bo jakaś żydowska bryka przejeżdżała, w której siedział Jasio organistów.

Otoczyli go Lipczaki, a Grzela rozpowiedział o wszystkim. Jasio wysłuchał, pogadał o tem i owem i kazał jechać.

Wszyscy zaś poszli do karczmy, i po drugim kieliszku Mateusz huknął:

— A ja wam powiem, że wszystkiemu winien wójt i młynarz.

— Prawda, najwięcej namawiali a straszili — przyświarczył Stacho Płozka.

— A że naczelnik groził, to jakby wiedział już o Rochu — ktoś szeptał.

— Jak nie wie, to mu powiedzą. Znajdą się takie!

— Kaj strażniki? — zapytał Grzela nie spokojnie.

— Poszli jakby w stronę Lipiec.

Grzela zakręcił się po karczmie, i ani spostrzegł, jak się wyniósł i szedł ku wsi miedzami, rozglądając się pilnie dokoła. (DCN)

## Z DZIEDZINY WIECZNYCH TAJEMNIC.

Już Hamlet powiedział swemu przyjacielowi, iż dzieją się na świecie rzeczy, o których filozofom ani się śniło.

Rozmaicie starano się dotąd wynaleźć klucz do rozwiązania wielu zagadek i tajemnic życia, lecz wszelkie wysiłki na drodze ściśle naukowej nie doprowadziły jeszcze do pożądanego wyniku. Byli jednak i są zawsze ludzie, którzy śmiało głoszą, iż w układzie bytu i światów nic tajemnego dla nich niema. Szczęśliwi, jeśli zupełnie pewni siebie!

Wraz z rozwojem nauk biologicznych, jednocześnie powstała i rozwijała się cała olbrzymia literatura, poświęcona zagadnieniom tajemnej wiedzy, aż do białej i czarnej magii włącznie. Astrologia, alchemia, spirytyzm, somnambulizm, chyromancya, frenologia i t. d., oto nieskończona jeszcze litania tych nauk, które w zależności od ogólnego nastroju święciły mniejszy lub większy triumf.

Wszystko to stare, jak świat, bo już starożytne ludy Wschodu dużo wiedziały o „duchach astralnych“, a nawet Owidysz Juliusza Cezara przestoczył w błyszczącą gwiazdę, lecz był to wymysł fantazyi poetyckiej. Równie gorąco składało hołd „duchom astralnym“ średniowiecze. Wraz ze swoją wiarą we wszelki satanizm widziało w nich upadłych aniołów lub potępionych ahaswerów, wiecznie błakających się pomiędzy niebem a ziemią i nie należących do żadnego ze światów.

Tak było w starożytności i w średniowieczu. Lecz i obecnie wiedza tajemna nie przestała rozwijać się nadal, wzbogacając się ciągle nowymi dziełami, pełnymi ciekawych i oryginalnych pomysłów. Wśród nich ukazało się niedawno obszerne studium słynnego znawcy spirytyzmu i okultyzmu, Liedbitera. Książka jego p. t. „Świat astralny“ rzuca bardzo ciekawe światło na najnowsze wyniki badań w dziedzinie współczesnej



Wywołanie ducha.

wiedzy tajemnej, a przytem sam autor, posiadający rzekomo niezwykły dar jasnowidzenia, uważany jest za najlepszego badacza tajemnych zjawisk i zagadnień.

Osią, dokoła której zawsze obracała się wiedza tajemna, była i jest paląca i męcząca stale ludzkość zagadka życia i śmierci. Posłuchajmy, do jakich ostatecznych wniosków w tej mierze dochodzi słynny autor.

Według niego każdy człowiek po drodze na tamten świat kolejno wyzbywa się trzech swoich składowych części: ciała fizycznego, eterycznego sobowtóra i materii astralnej. Wszystko to stopniowo rozplywa się w odpowiednich światach czyli

„kręgach“, koncentrując się potem na nowo w wielkim laboratoryum natury. Człowiek nie podejrzewa nawet, iż zawsze znajduje się wśród ogromów nieznanego i niewidzialnego świata. Po śmierci przechodzi tylko do odpowiedniego astralnego kręgu, duchy zaś astralne są niemniej prawdziwe i rzeczywiste, jak nasze ciała, domy lub pomniki.

Jasnowidzący autor kreśli nam nawet obraz śmierci, opisując w formie wizji wrażenia, przeżywane podczas snu magnetycznego.

Fizyczny organizm umierającego nie może już dłużej zadawać różnorodnych potrzeb du-



Wróżka.

cha, lecz organy wewnętrzne wciąż jeszcze sprzeciwiają się rozstaniu duszy z ciałem. Muskulatura walczy, aby utrzymać pierwiastek ruchu; system krwionośny dąży do utrzymania elementów życia; nerwy napinają całą swą energię, by zachować możliwość reagowania, a mózg usilnie koncentruje zanikający stan świadomości. W ten sposób dusza i ciało staczają pomiędzy sobą uporczywą walkę.

Nagle w momencie kulminacyjnym głowę umierającego otacza subtelna, lekko świecąca atmosfera, a w mózgu i w mózdzku rozchylają się najbardziej wewnętrzne części, w których właśnie następuje ostateczne rozstanie się duszy z ciałem, t. j. śmierć.

Następnie w miękkiej, subtelnej atmosferze, promieniejącej nad głową zmarłego, wytwarzają się nieokreślone narazie kontury drugiej głowy, która staje się coraz wyraźniejszą i więcej zwartą. Kolejno wytwarzają się również plecy, piersi, oraz inne członki organizmu duchowego, i oto duch wzbija się do góry ponad głowę porzuconego ciała.

A więc, jak twierdzi jasnowidzący autor, stan, który my nazywamy śmiercią, jest tylko nowym odrodzeniem się ducha i przejściem z niższej kategorii bytu do wyższej. Analogia pomiędzy narodzeniem się na świat dziecka i ducha z materialnego ciała jest zupełna, a nawet identyczna.

Zauważyć możecie — dodaje Liedbiter — iż wszystko to jest wymysłem lub mirażem halucynacji uspiętego, lecz wniosek taki będzie błęd-



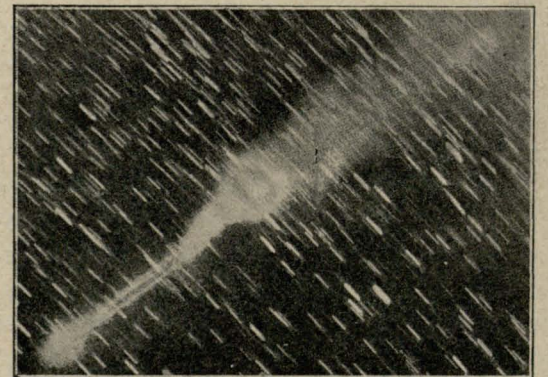
ny, gdyż teoria „kręgów astralnych“ wyjaśnia zjawiska najbardziej tajemne. Nie zapominajmy tylko, że czas i przestrzeń to pojęcia świata fizycznego, które poza nim nie istnieją, a więc w dziedzinie zjawisk duchowych żadnych granic i przeszkód niema.

Dalej opisuje nam autor świat astralny, w którym również znalazł się za życia podczas jednego ze snów magnetycznych.

Z początku rozciągała się przed nim głucha, nieskończona ciemność, która powoli rozwiewała się i znikła w miarę potęgowania się wrażliwości uspiętego. Wszystko dokoła zabłyszczało dziwnym, fosforycznym blaskiem. Już po kilku minutach jasnowidzący z łatwością rozpoznawał znajdujące się w pokoju osoby, a nawet widział ich wewnętrzne, ukryte źródła promieni magnetycznych: serce i mózg. Szczególnie z mózgu tryskały obficie snopy ognistych blasków, drgających, jak brylantowe skry — były to myśli obecnych. Następnie uspięty zauważył nawet „pierwiastki życiowórcze“ pomiędzy włóknami odzieży i w meblach. A gdy i ściany stały się przezroczyste, ujrzał nowe jeszcze horyzonty: wieś z wraz z jej mieszkańcami, powierzchnię ziemi na przestrzeni kilkuset wiorst w głębi i bezmiar wód oceanu, otoczony dziwnym, błękitnym lub purpurowym światłem...

W następnych rozdziałach swojej książki, autor gorąco broni wiary w istnienie duchów, otaczających ludzi za życia. Zjawiska te wyjaśnia w sposób dość ciekawy, lecz... przeczy jednocześnie całą swoją teorię.

Każdy z nas — mówi Liedbiter — mając stale jakąś gorącą chęć, wytwarza sobie w ten sposób jakgdyby towarzysza astralnego, który, potęgowany przez nowe wciąż myśli, istnieje przez szereg lat, potęgując się również. Jeżeli dusza ma jakiegokolwiek pragnienie, to we własnym organizmie posiada takie pierwiastki, przez które wcielić może swoje pożądanie: eter i materię astralną. Wcielenie



Świat astralny.

staje się jeszcze szybszym i łatwiejszym, gdy kilku ludzi ma jednakową chęć. To też pojęcie o „wysłuchanych modłach“ jest podług Liedbitera niczem więcej, jak wcieleniem ludzkich chęci za pomocą życiowórczej siły, jednocześnie przenikającej oba ciała, fizyczne i duchowe czyli astralne...

W ostatnim rozumowaniu autor przeczy samemu sobie i swojej teorii, bo, jeżeli wyobraźnia i siła woli tak wielką rolę odgrywają przy stwarzaniu towarzyszy astralnych, to czyż nie mamy prawa przypuszczać, iż wszystko to, co nam mówił autor, a wraz z nim i wszyscy współcześni teozofowie i okultyści, nie jest również wykwitem wyobraźni i siły woli?...

## Prezes Koła o sytuacji.

Wywiad specjalnego delegata Tyg. Ilustrowanego.

Położenie obecne, zarówno wewnętrzne, jak i międzynarodowe, jest bardzo skomplikowane. Każdy promień światła, który może je w jakimkolwiek stopniu rozjaśnić, jest i bardzo pożądany, i bardzo interesujący.

To też skorzystaliśmy z chwilowej obecności w Warszawie prezesa Koła Polskiego, aby od niego informacji o położeniu zasięgnąć.

Posel warszawski powrócił właśnie z zagranicy, zatrzymany tam niespodzianie chorobą. Pan Dmowski wygląda dobrze i jest już zdrow, jakkolwiek nieco jeszcze kaszle.

Pierwsze pytanie, które się nasuwało, było naturalnie, jak się czuje wogóle?

— Jak się czuję? Nie czuję się źle—brzmiała odpowiedź — jednak Petersburg nie pomaga mi, klimat petersburski mi nie służy. My, Polacy, nie jesteśmy jednak silną rasą, siebie uważam za wyjątkowo silnego człowieka: a jednak ostatnie cztery lata wysiłku zarówno z początku, podczas walki z anarchią w kraju, jak potem, podczas organizacji polityki polskiej w nowych warunkach, odbiły się na moich siłach i zdrowiu.

— Niestety, zdaje się, że obecne położenie nie zapowiada pracy w lepszych, dogodniejszych warunkach...

— O, nie. Przeciwnie. Kto wie, czy zbliżające się chwile nie będą należały do najtrudniejszych. Polityka nasza bardzo daleka jest od ustalenia metod, od rutyny. Ciągłe będzie wymagała szczególnego napięcia uwagi, oryentowania się w zmiennym niezwykle położeniu i wysiłku myśli, szukającej w tem położeniu właściwej drogi. Na dodatek zmuszeni jesteśmy działać w ogromnie nerwowym środowisku, w którym bardzo łatwo jest samemu zarazić się i utracić spokój.

— Czy pan prezes ma na myśli nerwowość naszego społeczeństwa?

— Właściwie nie nasze społeczeństwo miałem na myśli, jakkolwiek jest ono także porządnie nerwowe i mało ma tego spokoju, który jest niezbędnym warunkiem zdrowej politycznej myśli. Mówię o atmosferze politycznej w Rosji, w Petersburgu, w szczególności zaś w Dumie. Czy pan nie widzi, jakie tam panuje obecnie zdenerwowanie? i nie jest to moment wyjątkowy: w chwilach pozornie największego spokoju czuje się tam zawsze panowanie nerwów, podlegających coraz to nowym, a nie dość trwałym nastrojom...

— Ma pan pewnie na myśli obecne podniecenie sprawami bałkańskimi...

— Tak. Zresztą jest ono może więcej zrozumiałe, niż inne podobne ekscytacje. Obecne zajścia na bliskim Wschodzie mają dziś przede wszystkim dla Rosyan tę treść, że po raz pierwszy z niezwykłą jasnością ukazują im upadek znaczenia politycznego Rosji na zewnątrz. Na Bałkanach, na tym gruncie, który Rosya uważała zawsze dla siebie za najważniejszy, zaszły bardzo ważne wypadki bez żadnego wpływu z jej strony. I jakkolwiek te wypadki są dla niej bardzo niepożądane, bardzo niepomysłne, nie jest ona w stanie nic przeciwko nim poradzić. Podróż p. Izwołskiego po Europie miała tylko pozory jakiejś poważnej akcji... Na politykę zewnętrzną Rosji składają się przede wszystkim dwa czynniki: obawa przed Niemcami i stąd uzależnienie się od nich, oraz zależność finansowa od Francji. Polityka, która jest wypadkową tych dwóch oddziaływań, nie jest przede wszystkim samodzielną, a następnie nie może być ani silną, ani konsekwentną. I kto zna politykę bałkańską Rosji nie tylko z tego, co piszą gazety, ten wie dobrze, jak sprzeczne fazy przechodziła w ciągu ostatnich kilku tygodni, jak właściwie nie było żadnej polityki.

Otóż patryoci rosyjscy widzą bezsilność swego państwa w chwili obecnej, bezsilność, która szlachetnego Rosyanina musi doprowadzać do rozpaczy. W takich razach zdenerwowanie jest całkiem zrozumiałe...

— A stanowisko słowiańskie? wobec aneksy Bośni i Hercegowiny odgrywa ono niezawodnie także dużą rolę?...

— Tak... Niewątpliwie i tradycyjne sym-



Roman Dmowski

patye dla Serbów wchodzi tu w grę... Ale nie one tworzą ten nastrój nerwowy. One mu służą raczej za wyraz. Dla narodu serbskiego, mającego coraz większe poczucie swej jedności, należenie Bośni i Hercegowiny do Austrii jest wielką krzywdą. Nam, Polakom, łatwiej to zrozumieć, niż komukolwiek. Ale trzeba przecież pamiętać, że ta zmiana, przenosząca Serbów bośniackich z pod panowania tureckiego pod austriackie, zaszła nie dziś, lecz przed laty trzydziestu. Losy Bośni i Hercegowiny zdecydowane zostały nawet nie przez kongres berliński, ale przez tajne porozumienie rosyjsko-austriackie w styczniu r. 1877, zapewniające neutralność Austrii w wojnie rosyjsko-tureckiej. Trzydzieści lat temu Bośnia i Hercegowina nie bez przyczynienia się Rosji przeszły pod panowanie austriackie, a dziś stan formalnie tylko tymczasowy zamieniono na stały, czemu zresztą towarzyszy wprowadzenie urzędów konstytucyjnych; otóż, nawet uważając całą tę sprawę za tragedję dziejową, trudno widzieć kulminacyjny jej punkt w chwili obecnej.

— Jakże ten nastrój kół rosyjskich, zdaniem pana, odbije się na stosunku do sprawy polskiej? I jak to się wiąże z ruchem nowosłowiańskim, zapoczątkowanym w ostatnich czasach?

— Na te pytania trudno mi teraz panu dać odpowiedź. Nie miałem w ostatnich czasach żadnej bezpośredniej styczności z kołami rosyjskimi. Wracam z zagranicy i to, co myślę w poruszanej przez pana kwestyi, muszę dopiero w Petersburgu sprawdzić i skorygować. To panu tylko powiem, że, jakkolwiek nastrój zapanuje w kołach rosyjskich, nasze stanowisko w sprawie słowiańskiej pozostaje niezmiennie. Dążenie do solidarności słowiańskiej opiera się u nas na podstawach głębszych, które pozostają niewzruszonymi bez względu na ten czy inny stan opinii rosyjskiej. I tak to pojmuje większość naszej opinii publicznej...

— Czy nie obawia się pan prezes rozbicia naszej opinii pod wpływem ostatnich ataków na akcję słowiańską, na politykę Koła wogóle, a osobę pańską w szczególności?

— Proszę pana, takie rzeczysą straszne tylko dla polityki, która chce się trzymać na sztucznie wytworzonej opinii publicznej, a my w tem położeniu nie jesteśmy. Widoki naszej polityki praktycznej są ciągle bardzo słabe i polityka nasza nieprędko jeszcze będzie mogła o sobie powiedzieć, że znalazła wyjście z tego fatalnego położenia, w jakim się nasz naród znajduje. Ale na to właśnie, żeby to wyjście kiedyś znaleźć, musimy nareszcie zostać narodem politycznym, który w najcięższych, najniewdzięczniejszych warunkach nie traci zdolności do stałego wysiłku myśli i woli i nie przestaje organizować na gruncie istniejącej rzeczywistości działań, zmierzających do posuwania naprzód sprawy narodowej. I trzeba, ażeby ta praca nie była akcją jakiejś samozwańczej garstki, lecz akcją narodu, jego większości, w tem znaczeniu, że społeczeństwo rozumie i świadomie popiera działania swoich pełnomocników. I dlatego to pierwsze znaczenie ma należyte wykształcenie opinii publicznej. Jeżeli dla polityki narodu zabójcza jest anarchia opinii, to niemniej groźna jest jej martwota. Potrzebny jest ruch, wymiana zdań, kulturalny spór, bo tylko na tej drodze opinia może się uświadomić i wykształcić. To też, kiedy się zjawiły napaści na mnie i na naszą politykę, to, pomimo całą nieprzyzwoitość ich tonu, nie życzyłem sobie, ażeby reagowano na nie zbyt ostro. Sam prosiłem moich przyjaciół—dziennikarzy, żeby wyciągnęli tych przeciwników na dyskusję rzeczową, któraby mogła być prowadzona z pożytkiem dla naszej opinii publicznej. Niestety, rezultat okazał się bardzo smutny. Ci panowie, przyparci do muru, zmuszeni przyzwoitem traktowaniem do wypowiedzenia swoich poglądów, wykazali taką pustkę, taką jałowość myśli, taki brak wszelkiej orientacji, że dyskusja musiała się urwać z braku treści rzeczowej. I to jest smutne. Mógłbym się wprawdzie cieszyć, że mi Pan Bóg dał dość kiepskich przeciwników, których cała furja bojowa wyraża się w podejmowanym przez nich wrzasku, ale to pociecha słaba. Natomiast smutna niesłychanie jest ta martwota, to lenistwo myśli, które dziś jest tak powszechnym zjawiskiem. Przecież u nas wielu ludzi protestuje przeciwko wszelkiej polityce wogóle dlatego właściwie, że ta ich zmusza do najprzykrejszej pracy—do myślenia. Wolą nic nie myśleć, nic nie robić, patrzeć na fatalne warunki naszego życia i szukać pociechy w ciągłym powtarzaniu, że jesteśmy ofiarami cudzej podłości. Liczyłem, że z tej opozycji przeciw naszej polityce wypłynie jakiś ruch, ożywiający naszą opinię publiczną, pobudzający wymianę zdań, tymczasem za cały jej skutek mamy dotychczas trochę bezpłodnego hałasu.

— Jednak jest w tych wystąpieniach dużo namiętności, zwłaszcza gdy chodzi o pana...

— To są już rzeczy osobiste. Sam jestem poniekąd ich sprawcą. Zamało w swoim życiu ceremoniowałem się z rozmaitemi nie uzasadnionymi ambicjami i pretensjami, za dużo mówiłem ludziom w oczy rzeczy nieprzyjemnych, choć prawdziwych, i wyrobiłem sobie pewną ilość „przyjaciół“, którzy chorują na mnie, których sam dźwięk mego nazwiska przyprawia o drgawki nerwowe. No, ale to są czynniki, które nie zaważą na losach polityki polskiej...

Nasuwał się jeszcze cały szereg spraw, o których pragnąłem zdania prezesa Koła zasięgnąć, ale rozmowa nasza przedłużała się nad miarę, z drugiej zaś strony p. Dmowski o wielu sprawach bieżących nie mógł mówić, ponieważ nie był jeszcze w Petersburgu. Zakończyliśmy więc długą konferencyę serdecznym podziękowaniem w imieniu Tygodnika, oraz życzeniem owocnej i pomyślnej dalszej pracy dla dobra kraju na najtrudniejszym posterunku.

Interviewer.

WŁADYSŁAW RABSKI:

## SĄD NAD CESARZEM.

Nie wiem już, gdzie i kiedy, ale słyszałem niegdyś te słowa: „Wier, Deutschen, sind schon etwas kaisermüde (My, Niemcy, jesteśmy już trochę zmęczeni cesarzem). A zresztą, gdybym ich nawet nie był usłyszał, znalazłbym je codziennie w stu piśmie niemieckich, ciche, bojaźliwe, drżące i pełne niecierpliwości. Nawet tam, gdzie krzyczy się głośno: „Für Kaiser und Reich“, nawet tam, gdzie tytuł: „z Bożej łaski“ brzmi, jak zwiastowanie święte, a kolana zginają się z urzędu przed portretami Wilhelma, nawet tam na dnie duszy jest jakby melodia buntu. Tylko wędzidło „zasady monarchicznej“, tylko umundurowanie serc i umysłów, tylko wstyd patryotyczny przed urąganiem zagranicy tłumił dotychczas wielki krzyk protestu. Tym krzykiem rozbrzmiewały jedynie dzienniki



Wilhelm II, angłoman.

skrajnej lewicy, ale ból, żal, zniecierpliwienie, z którego rodzi się „veto“ narodu, było wszędzie: na dworze, w gabinetach ministeryalnych, w arystokracji, mieszczaństwie, na robotniczym poddaszu i w chłopskiej chałupie.

Prędzej czy później, musiał nadejść dzień sądu i dzień obrachunku. Oslawiony interwiew Wilhelma II, ogłoszony w londyńskim dzienniku *Daily Telegraph*, pozrywał wszystkie wędzidła. Gniew ludu buchnął płomieniem. Wstydem zrumieniło się oblicze Niemiec. Dołem i górą brzmi słowo rokoszu: „Ukróćcie rządy cesarza!“

Jest to szczególne zjawisko, jedyne może w dziejach Europy współczesnej, że cały naród, bez względu na stronnictwa, bez względu na stopnie hierarchii społecznej, woła dziś o sąd nad monarchą. A potęgi i powszechności tego oburzenia niepodobna pojmować, jako prosty skutek ostatniej kompromitacji, pomimo skandalicznej treści spowiedzi cesarskiej.

Prawda! Usłyszeć nagle, że w chwili, gdy całe Niemcy rozpyływały się w sympatyach dla Boerów, cesarz posyłał w prezencie rządowi angielskiemu plany wojenne dla złamania walczącego o prawa swoje Transwaalu, to niewątpliwie musi być oburzające. Słuchać, jak cesarz chwali się cynicznie przed Europą, że zdradził Anglii poufne rokowania z Francją i Rosją, tego zdrowy instynkt polityczny narodu tolerować nie może. Dowiedzieć się wreszcie z urzędowego wyjaśnienia, że ni kanclerz, ani sekretarz stanu nie czytali dokumentu kompromitującego, bo jeden był przepracowany, a drugi bawił na wakacjach, dowiedzieć się, że jakiś podrzędny urzędnik dał skandalicznej publikacji swoje *placet*, bo nie rozumiał niebez-

pieczeństwa lub, co prawdopodobniejsza, zrozumieć go nie śmiał, wszystko to jest bezsprzecznie groźne i dla dumy niemieckiej upokarzające.

A jednak, cokolwiek się stało, trudno uwieńczyć, aby w narodzie, przywiązany do swojego cesarza, mogła wezbrać taka fala buntu powszechnego, jak ta, która huczy przed nami i grozi. Przed laty 10 jeszcze o solidarnej opozycji całych Niemiec przeciw cesarzowi mowy być nie mogło. Szemrałyby lewica społeczeństwa, lecz konserwatywni mamelucy tronu powtórzyliby stereotypowo swoją modlitwę: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy“. Zerwałaby się burza w parlamencie, ale na prawem skrzydle byłaby cisza dyskretna lub wiernopoddańcze oklaski dla kanclerza, idącego w bój „pro rege Dei gratia“. Odezwałyby się protesty stronnictw, lecz nie wstrząsałyby tonym protestem narodu.

W tem, co się dzieje obecnie, jest coś więcej, niż skandal polityczny. To obrachunek za długie lata autokracji, osłoniętej pozorami konstytucji, to ostatnia kropla goryczy, która przepełniła kielich niezliczonych rozczarowań, to ogólna likwidacja wiary w cesarza, to bankructwo majestatu w Niemczech. Tylko w związku z całą przeszłością polityczną Wilhelma II można zrozumieć ten potok wezbrany, który falą rozhułkaną wali w tron i koronę. Z aureoli, która otaczała początki „imperatora“, nic nie pozostało. Sam gasił promień za promieniem. I oto cały kult dla jego „genialnej indywidualności“, miłość, którą budził, cześć, która go wieńczyła, dziś już tylko żużlem wypalonym. Tron jego stoi zimny i ponury. Strzeże go jeszcze tradycja, strzeże bezwładność społeczeństwa, strzeże militarizm i strach, ale serce narodu odwróciło się już od monarchii.

Tylko na tle wzrastającego z roku na rok zubożnienia całego państwa dla osoby cesarza i odrazy do cezaryzmu „Kaliguli nowoczesnego“ zrodzić się mógł tak wielki, tak powszechny rokosz opinii, który najdrastyczniejszy wyraz znalazł w okrzyku Hardena: „Cesarz powinien abdykować!“

Być może zresztą, że w opozycji kół zachowawczych odegrały rolę dość wybitną wpływy partii wojennej, która jedyne wyjście z kłopotów ekonomicznych i politycznych Niemiec upatruje w wymowie armat i korzysta z każdej sposobności, aby zemścić się za lekceważenie jej żądań przez najwyższych kierowników państwa, jak zresztą mściła się niedawno na klice Liebenberskich „półmężczyzn“ z ks. Eulenburgiem na czele. Ale, z jakichby motywów składała się obecna „symfonia walki“, faktem jest, że ta symfonia istnieje, a tytuł jej: Przeciw cesarzowi.

Mogą w niej być domieszki ambicji, pretensji i spekulacji partyjnych, ale „leitmotiwem“ politycznym olbrzymiej burzy jest ustalone już dzisiaj przekonanie, że na tronie Niemiec nie siedzi „król królów“, geniusz w purpurze, monarcha z Bożej łaski, lecz nieobliczalny, ludzający tylko pozorami wielkości, rozchwiany, fantastyczny dyletant i histerik, którego porwy samowładcze są wieczną groźbą dla Niemiec.



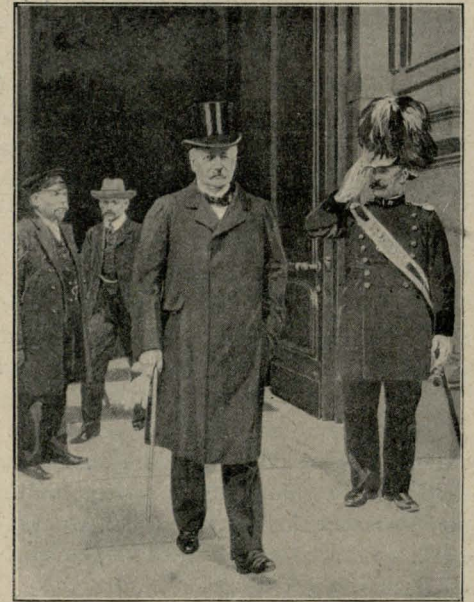
Maksymilian Harden.

I naród, który do niedawna jeszcze tolerował spokojnie wzrost autokracji w państwie, olśniony pozą teatralną cesarza, zaczyna rozumieć, że tylko

w rozwoju konstytucji znajdzie broń przeciw niebezpiecznemu samowładztwu na tronie.

We wszystkich interpelacjach, które wygotowały stronnictwa parlamentu niemieckiego, odzywa się dążność do skrępowania woli cesarskiej. „Odpowiedzialność kanclerza“, istniejąca dotychczas tylko jako teoretyczny ogólnik w ustawie konstytucyjnej, lecz nie sformułowana w ściśle określonych pojęciach, jest hasłem chwili bieżącej. Naród żąda rozszerzenia władzy parlamentu, żąda kanclerza, którego by nie tylko sądził, ale mianował parlament.

Niemal cała opinia niemiecka zaczyna mówić o „rozbudowaniu konstytucji“, i z największym zdumieniem dowiaduje się Europa, że w tym chórze nie brakuje żadnego stronnictwa. Przeciwnie najślabsze i najostrożniejsze z interpelacji, wniesionych do parlamentu, żądają „gwarancji“, któreby zabezpieczyły państwo niemieckie przed samowładczą



Bülow wychodzi od cesarza po wręczeniu dymisji.

polityką cesarza. A ponad tem wszystkim unosi się buntowniczy głos Maksymiliana Hardena, który w księgach dziejów niemieckich, niby młotem, przybija publiczne oświadczenie kanclerza, że cesarz pobłądził, że jego spowiedź była szkodliwa dla państwa.

„I oto koniec mistyki monarszej! Od pierwszego listopada 1908 r. żaden cesarz niemiecki nie ma już prawa twierdzić, że jest oświecony szczególniejszą łaską Pana Boga. Cztery kanclerz państwa oświadczył przecież wyraźnie, że od swoich podwładnych ma prawo wymagać pewniejszego rozpoznawania politycznych konieczności i ewentualności, niż od ukoronowanego monarchy.“

Tak mówił Harden, a choćby słowa te sto razy skonfiskowano, choćby kuglarstwo polityczne ks. Bülowa raz jeszcze uciszyło burzę w parlamencie, choćby różne trąbki wojenne i odwoływania się rządu do patryotyzmu obywateli odwróciły na chwilę uwagę od gangreny, toczącej wewnątrzny organizm Niemiec, pozostanie na dnie duszy narodowej świadomość niebezpieczeństwa, czujność rozbudzona i może już zmartwychwstający duch konstytucji.

\* \* \*

Dzienniki głoszą, że w chwili największego rozgoryczenia opinii Wilhelm II zabił 30 jeleni na polowaniu, a gdy wracał do zamku, nad głowami jego przeleciały dwa stada dzikich kaczek, z których każde miało formę otwartego górnego trójkąta (V), a oba, połączywszy się, utworzyły literę „W“. Innymi słowy: owacya kaczek dla Wilhelma.

Dlaczegoż to jednak nikt nie pomyślał, że te dwa trójkąty podobne były także do dwóch oddzielnych liter „V“. A dwie te litery mogą znaczyć: *Vae Victis*.



Scena końcowa „Przywódcy“ Krzywoszewskiego. „Łomęcki, okrzyknięty zdrajcą, pada trupem, rażony brauningowymi postrzałami“.  
Stefan Krzywoszewski.

## WIECZORY TEATRALNE I MUZYCZNE.

W piętnastą rocznicę zgonu Czajkowskiego — Czajkowski i Warszawa. — Wieść o śmierci Wiktoryna Sardou. — Przed laty dwudziestu a dziś. — „Przywódcą“, trzyaktowa sztuka Stefana Krzywoszewskiego, wystawiona po raz pierwszy w Rozmaitościach. — „Samotni“ Hauptmana w Teatrze Małym. — Łzy i śmiech. — Jubileusz Sikorskiego.

Trzecie pięćdziesiąt lat, upłynione od śmierci wielkiego mistrza symfonii muzycznej, Piotra Czajkowskiego, upamiętniono i u nas w Warszawie — koncertami, poświęconymi wyłącznie dziełom twórcy „Oniegina“, „Damy Pikowej“ i wspaniałej symfonii, zwanej „patetyczną“.

Wygląd bardziej uroczysty miał koncert orkiestry

Teatru Wielkiego przy otwartej scenie, wobec ukwieconego popiersia Czajkowskiego; charakter uroczystszy miały wyjątkowo tłumne trzy koncerty w Filharmonii. Warszawa żywi dla dzieł Czajkowskiego, który sam parokrotnie odwiedził, sympatyę i wcale nawet popularną. Przypadł nam do



Piotr Czajkowski.

gustu jego miękki liryzm, całkiem „europejski“. I nie wiedzieć, czy wysoki artyzm liryki Czajkowskiego, czyli też „europejskość“ jego, gorętszych tu u nas ma wielbicieli...

I sądzę, że, gdyby więcej znano Włodzimierza Sołowjowa, a Turgieniew mniej był zapomniany, stanowiąliby oni wespół z Czajkowskim trójcę wyjątkową, wobec której milkłyby tak wszelkie „względy uboczne“, jak milkną wobec cudnej, żywiołowej poezji muzyki Czajkowskiego.

Jest bowiem hen, nad Newą, w przedsiönku brzydkiej, chłodnej sali Małego Konserwatorium, pomnik jego niemal symboliczny: z białego marmuru, subtelny, dystyngowany... Biały, jak duch, Czajkowski siedzi w krześle na niskim postumencie i, zda się, patrzy na defilującą mimo niego — ciżbę. Dziwna statua! Jakby nie wiedzieć po co i dlaczego rzucona w miasto granitowe, przerażająco zimne, a raczej wystygłe, owiane miazmatami błot, nawpół nieświadomie dzięki i nawpół bezczelnie utylitarne, posępne i koszarowe...

I alabastrowa pastelowość kararyjskiego marmuru pomnika gra, jak wykwiwna melodia jakiejś, z innych światów rodem, *viol' d'amore* — na bagnistych tundrach bezkresnych i bezsłonecznych.

Odwróćmy oczy — daleko na zachód.

Kilka dni temu życia dokonał w Paryżu Victorin Sardou.

Doprawdy? To... żył jeszcze?

Najniwątliwiej. Pióra nawet z rąk nie wypuścił do ostatniej chwili ten niestrudzony mały człowieczek, cały drgający zneurastenizowanymi nerwami, zdezonizowany „mocarz“.

Jeszcze w roku 1880 wołał Zola: „Skazani jesteśmy na wieki wieków na kuglarstwa p. Sardou i na tezy p. Dumasa-syna!“ I „katorga“ ta trwała jeszcze dobrych lat dwadzieścia. Repertuar wielkiego kontynuatora Scribe'go panował nad teatralnym światem po tej i tamtej stronie Atlantyku. Sardou, posiadłszy wszystkie tajemnice kunsztu scenicznego, wykonywując coraz to ciekawsze i sprytniejsze kombinacje sceniczne, produkował sztukę za sztuką z bajeczną płodnością i pracowitością. „Pattes de mouche“, „Divorcions“, „Fedora“, „Tosca“, „Fernande“, „Madame Sans-Gêne“, „Rabagas“, „Patrie“, „Odette“, „Les bourgeois de Pont-Arcy“, „Nos bons villageois“... chybaż nikt nie będzie wymagał, abym wyliczył na pamięć wszystkie *pièce'y*, które mamy wszyscy w pamięci!

Czyliż między 1870 a 1890 rokiem teatr nasz dramatyczny wręcz: nie żył sztukami Sardou, jak, nie przymierzając, magazyn bławatny najmłodniejszym chwilowo towarem? Czyliż luminarze ówczesni sceny naszej dramatycznej: Żółkowski, Rapacki, Ostrowski, Królikowski nie święcili największych tryumfów swoich właśnie w sztukach Sardou?

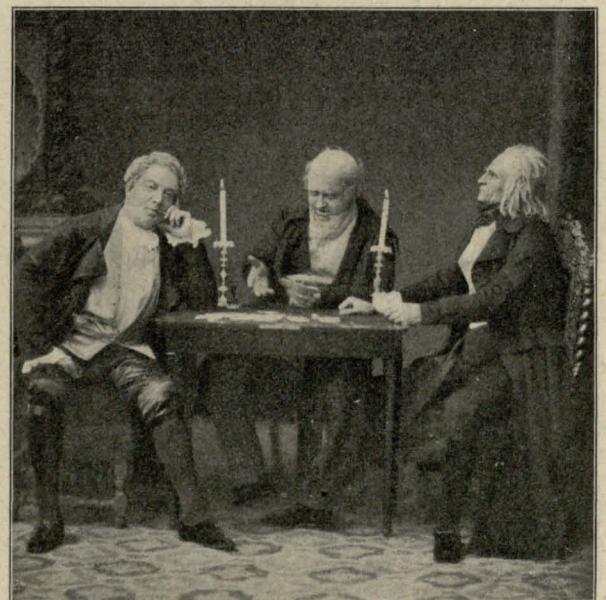
Położmy rękę na sercu. Temu jednak Sardou wypadałoby Warszawie spleść wianuszek wdzięczności na grób świeży. O! jeżeliby lat temu dwadzieścia gruchnęła po prasie warszawskiej wiadomość, że Sardou... Sardou!.. umarł!...

Dziś...

Niech się sześć razy potknę na gładkiej drodze, jeżeli w antraktach „Przywódcy“ Krzywoszewskiego usłyszał chociaż słówko wspomnienia o — Sardou.

„Przywódcą“, trzyaktowy dramat, mocno efektowny, wyśmienicie reżyserowany, uderzył w publiczność naszą wspomnieniami — wczorajszymi i jakimi jeszcze! O, nie „Safandulę“ to francuskie, o nie! Tłum to robotniczy nasz, z dnia nie wiedzieć nawet czy upłynionego jeszcze, podniecony przez płomienne mowy agitatorskie trybuna Łomęckiego, idzie „zdobywać“ placówkę kapitału, fabrykę. Nienawiść i zapamiętałość zięją z tej huczącej masy ludzkiej, która wodza swego unosi. Ale on wrywa się, nie chce iść na mord i pożogę; nie chce rąk uwalniać nie tylko we krwi, lecz i w błocie. Zapćżno. Ten, który przewodził tłumowi, jest już oto tłum — niewolnikiem... Łomęcki, okrzyknięty zdrajcą, pada trupem, rażony brauningowymi postrzałami. Przed stygnące zwłoki rzuca się na kolana zrozpaczona Ludka, od miesięcy kilku żona Łomęckiego, niezmiernej szlachetności i dobroci. Cóż pomogło, że walczyła przeciwko: nienawiści, przepajającej jadem całą akcję z założenia „reformatorską“, a oto przeradzającą się w pospolity bandytyzm, usprawiedliwiający siebie bezwzględnością walki klasowej?

Głęboko tragiczna, szarpiąca nerwy, bystra psychologiczną obserwacją, doskonale zbudowana i przeprowadzona ta nowa sztuka autora „Edukacji Bronki“ i „Tęczy“, świadcząca wymownie o rozrastaniu się i dojrzewaniu pięknego talentu pisarskiego dramatycznego.



Scena z „Safandulów“ W. Sardou. Żółkowski, Ostrowski, Rapacki.

Niema w „Przywódcy“ tendencji społeczno-politycznej programowej; są tylko demonstrowane *in anima vili* aksjomaty ogólnoludzkie, ostrzegające nieopatrne, bujne indywidualności przed rozpętywaniem żywiołów, których opanować nie są potem w stanie, a za którymi lub na czele których nie chcą brnąć—na manowce. Możemy przeto mówić tylko o *idei* sztuki i nazwać ją obywatelską i wytrawną.

Obraz „rewolucyjnych dni“, któreśmy sami świeżo przeżyli, choćby najdokładniejszy i umiejętnie uplastyczniony, nie może, rzecz oczywista, dorównać własnym naszym, tak żywym jeszcze, wspomnieniom. Jeżeli przeto obraz *quand même* wywarł silne wrażenie, dowód w tem znajdziemy mocy istotnego talentu, zasobnego w czujny smak i wytrawne poczucie miary.

Są też ponadto w sztuce Krzywoszewskiego, w obfitej czeredzie postaci i typów, kreacje tak wysoce żywe, oraz świadczące o lotnej a głębokiej obserwacji, jak wykolejony przez zawieruchę zacy kancelista Brukwa, jedna z owych nieszczęsnych a niewinnych drzazg, co odleciały w straszną niedolę przy rąbaniu drzew, jak Maryla Tulewska, agitorka-działaczka, zła do szpiku kości, pchnięta w rewolucję przez miłość dla Łomęckiego, prawie demoniczna, a w dobrym stylu tragiczna.

Niedostatkami dotkliwym w „Przywódcy“ jest nie uwidoczniiona w dostatecznej mierze tęgość i moc samego bohatera, który nie może przecie być głównie, aby nie powiedzieć: wyłącznie, amantem lirycznym. Do znacznego stopnia nadał mu tę liryczność, nawet nieco ślamazarną, grający Łomęckiego p. Sliwicki, ale też i przyczyną wypadnie, że całe panowanie Łomęckiego nad tłumem usunął sam autor—za kulisy. Wierzyć nam kazał sobie—na słowo. Wierzymy; ale to nam nie wystarcza—w teatrze. Widzieć chcemy i potrzebujemy *wszystko*,—na scenie.

Nie mogę choćby w dwóch słowach nie wspomnieć o prześwietnej grze Frenkla (Brukwa), o p. Nowickim (Tulewski), o p. Barszczewskiej (Maryla), którzy pierwszoplanowe miejsca zajęli w interpretacji naogół bardzo dobrej. Premierowa „cała Warszawa“, zgromadzona w komplecie w Rozmaitościach, żywo interesowała się sztuką, a po niepowszednio zręcznym i artystycznym akcie drugim sutymi oklaskami zmanifestowała swe pełne uznanie.

Jeżeli nawet w ciężkiej do bolesności atmosferze „Przywódcy“ nie zapomnieć... o Bożym świecie i pozdrowić cień nieboszczyka Sardou w owych Rozmaitościach, gdzie tyle razy owacyjnie był podejmowany, tedy myślę, że nie ubliżę duchowi jego, na Elizejskich już dziś przebywającemu Polach, mówiąc:

— Patrz! Oto twoja, mistrzu, i Scribe'go *nauka* czyliż nie piękne wydaje owoce nad Wisłą?

Krzywoszewski ma pewną i spokojną rękę. Taką właśnie urabia się solidną, ciekawą, wirtuozowską fakturę scenicznego utworu. „Przywódcę“ możemy poczytywać za takich właśnie utworów wielce znamienity zadatek.

A przyznać trzeba, że moment dla wystąpienia na horyzont bieżącego repertuaru scen naszych nie był dla Krzywoszewskiego bezwzględnie sprzyjającym. U nas dziś tu w Warszawie traf zdarzył, że wielkie nazwiska krążą po afiszach teatralnych: Wagner, Beaumarchais, Hauptmann... że nawet tak drogiej nam, rodzimej sztuce nie opanować całej uwagi publicznej.

Oto np. przypadli najwyraźniej do gustu publiczności naszej—bywa, że mocno nieobliczalnej,—„Samotni“ Hauptmanna. Sztukę, ani zbyt świeżą, ani zbyt tęgą, wystawił Teatr Mały i ma wciąż salę pełną, aż miło. Dobrze, przyznać trzeba, grają owych „Einsame Menschen“ (p. Duninówna święci tryumfy, jako Anna Mahr, p. Lenczewski podołał prawie zupełnie roli ciężkiej słabego, a nie przyznającego się do słabości swojej Vockeratha, a nader ładnie wywiązuje się z wdzięcznego zadania p. Łacka-Pawłowska, jako Käthen, tak nieszczęsna, a tak sympatyczna). Zdaje mi się jednak, że publiczność nasza wręcz lubi takie właśnie elegijne, a za serce chwytające nastroje, których udzielają sztuki w rodzaju „Samotnych“. Czyliż co innego, niż analogiczny temat, stanowi u nas o powodzeniu „Dzwonu zatopionego“? Tkliwa łezka tak mile oczy łaskocze... Z rozkłikowaniem się rywalizować może jeno—rozbawienie się.

Tedy, w odnowionym prześlicznym i ogrzonym znakomicie przybytku na sezon zimowy krotchwilii naszej, t. j. w Letnim Teatrze ogrodu Saskiego święcić rychło będziemy bardzo sympatyczną uroczystość: jubileusz 40-lecia pracy scenicznego wogóle, a 25 lat przebywania

na scenie warszawskiej p. Laurentego Sikorskiego, jednego z najulubieńszych artystów naszych.

Czem bowiem w operetce jest Morozowicz, tem w farsie Sikorski. Nie tylko aktor to, któremu żaden ruch, żaden gest, żaden pomysł, żadna gra sceniczna nie sprawi nigdy zawodu, ale urodzony to *homo jocosus*—człek rozśmieszający.



Laurenty L. Sikorski w komedii Jordana „Myszy bez kota“.

Humor ma udzielający się, popularny, często burleskowy, ale, nawet posługując się wierutną przesadą, nie schodzący nigdy na płaskość niesmaczną. Przeciwnie, Sikorski w całym szeregu ról ma za sobą bardzo nieraz wysubtelniejszą charakterystykę, dążącą do stworzenia typu poza fajerwerkami konceptów i efektów.

Naszą szczerą i zdrową „zabawę“ opłacił artysta nieraz długim obmyśleniem roli i pracą usilną, trudniejszą i cięższą, niż nam się zdaje... Tedy serdecznym powinszowaniem jubileuszowym odpiąmyż mu raz na lat... czterdzieści za tę niezliczoną ilość wesołych wieczorów teatralnych, którymi nas uraczył.

CZESŁAW JANKOWSKI.

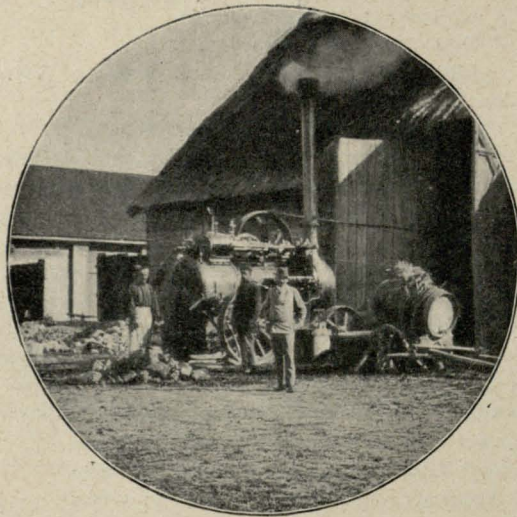
## Kolosalny interes.

Z CYKLU: „WIEŚ“.

Wybrałem się w tych dniach w opatowskie po przygarść świeżych wrażeń dla *Tygodnika*.

Miał to być rodzaj wywiadu o najważniejszych sprawach wiejskich, „agrarnych“, jak się to teraz mawia. Przybyłem pod zachód słońca.

Na wstępie powitał mię świst Ramson'owskiej



Lokomobila Ramsona w ruchu.

lokomobili, domłacającej sterty tej słynnej „sandmierki“, którą niegdyś pradziadowie zasypywali śpichrze Gdańska.

Wilgotny zmierzch listopadowy szedł już zrębami pagórków, z przepuklin wawozów snuły się już cienie zbliżającej się nocy, stary dwór już błyszczał światłem.

Zasiedliśmy z gospodarzem *antiquo more* przy kominku.

Podano herbatę.

Rozpocząłem wywiad od luźnych pytań o stan zasiewów, o namłotność i t. d., kiedy gospodarz, po kilku szczegółowych odpowiedziach, zagadnął:

— Bardzo się cieszę z pańskiego przybycia. Już dawno chciałem za pośrednictwem prasy poruszyć pewną sprawę, mem zdaniem, najważniejszą, najpilniejszą z wszystkich, jakie mamy. Tem więcej, że to kolosalny interes!

Zaciekawiał mię.

— Słucham...

— Muszę na wstępie zaznaczyć, że wieś czyta i nieraz idzie za wskazówkami drukowanego słowa... Nawoływaliście do bojkotu niemieczyny... Kupujemy, o ile niema krajowych, tylko angielskie i amerykańskie maszyny... Nawiasem mówiąc, o wiele lepsze. Kołatałicie w sprawie współdzielczości... kooperatywy... Mamy już i sklepy, spółki mleczne... Spójrz pan! świeżo wróciłem z wystawy w Opatowie, jakie to u nas już włościąnie hodują bydło?

Pokazał mi fotografię pięknej rasowej dójki.



Okaz, nagrodzony na wystawie w Opatowie.

— Pod wieloma względami zrobiło się wiele, postąpiliśmy znacznie naprzód. Ale sprawa najważniejsza handlowa, sprawa handlu (jeżeli tak można powiedzieć) ziemią, napróżno dotąd kołaczę o jakie takie uregulowanie...

Zamyślił się i znów zaczął po chwili:

— Cokolwiekbyśmy o parcelacji powiedzieli, czy że to złe konieczne, czy że pożyteczna ewolucja ekonomiczna, faktem jest, że jest, że ziemia stała się podobnie obiektem handlowym, jak zboże, mleko, lasy... Jeżeli pan się cyfr nie lęka, to mogę kilka zasadniczych przytoczyć.

— Proszę bardzo...

— Na zasadzie Ukazu z r. 1864—mówił z pamięci—według danych z r. 1873 było w posiadaniu włości ogółem 8,698,747 morgów. A teraz jak się przedstawia wzrost własności włościńskiej co do lat ostatnich. W r. 1889 własność drobna wynosiła już 9,406,665 morgów, a w r. 1903—11,313,019 morgów. Na olbrzymi ten przyrost złożyły się: regulacja serwitutów i głównie cząstkowa rozprzedaż folwarków. W dzisiejszej chwili blisko 70% ziem uprawnych, łąk i pastwisk jest w ręku drobnej uprawy, kraj nasz, jak pan widzisz, przestał być krajem większej własności... Pomyśl pan teraz, że ten cały handel ziemią, z małymi wyjątkami, szedł luzem, znajdował się w rękach przygodnych, niepowołanych pośredników. A bardzo kosztownych! Znam wypadki! że koszta pośrednictwa wynosiły do 25 rub. na morgę, Płacił ją w części sprzedający, w części... Iwiej części, nabywca-włóścianin. Już nie biorąc nawet pod uwagę, jak się taka cząstkowa sprzedaż fatalnie pod względem agronomicznym zarysowuje, nie wyliczając strat, jakie kraj ponosi przez tworzenie wadliwych jednostek rolniczych, suma, opłacona za pośrednictwo, jest wprost kolosalna!

Potaknąłem.

— Wracam do liczb—wznowił w dalszym ciągu.—Opierając się na danych tylko z okresu między 1889 a 1903 r., widzimy, że włościńskie nabyli za pośrednictwem parcelacji 1,906,405 morgów. Już nie mówię o wyzysku pośrednika, jak powyżej, ale, gdyby tylko obliczyć po 5 rub. od morga, wyniosłoby to już około 10,000,000 rubli! Omal bajecznie to wygląda. A jednak tak jest... I w czyje ręce te pieniądze przeszły? jaką z nich ogół osiągnął korzyść? Utyła tylko banda wyzyskiwaczy i niebieskich ptaków na krwawicy chłopa i wogóle rolnika...

— Więc?

— Nie chcę pana nudzić. Stworzenie instytucji parcelacyjnej jest według mnie obecnie najpilniejszym z zagadnień naszych!...

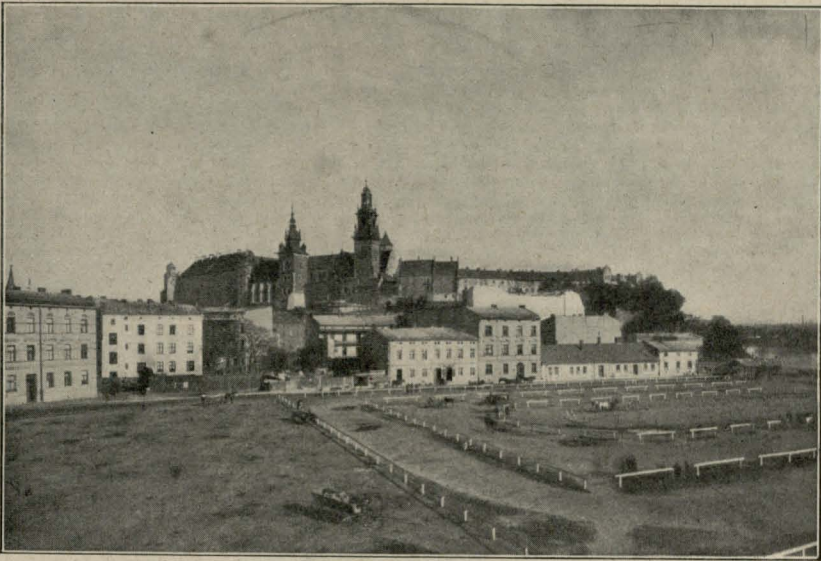
— Tak! to kolosalny interes!—potaknąłem.

— I obywatelski obowiązek! Cóż u dyaska, żeby się wśród nas taki poznański pan Marcin Biederman nie znalazł?—dokończył.

Na kominku dopalało się łuczycwo, a światem szła już noc, „że oko wykół“.

K. LASKOWSKI.





Wawel od strony grobli, fot. P. Grünhäuser



Wystawa fotograficzna w Krakowie

Powrót z miasta, fot. P. Fischer

### Z wystawy fotograficznej w Krakowie.

Wśród rozmaitych sportów i dyletantyzmów, w których nowoczesny człowiek kulturalny szuka wytchnienia po ciężkiej i wyczerpującej pracy codziennej, jedno z pierwszych miejsc należy się sztuce fotograficznej. Konieczność trafnego wyboru tematów i odpowiedniego sposobu ich traktowania, ogromna różnorodność metod, kardynalny obowiązek ścisłości w procedurach wielorakich, oto te zalety fotografii, dzięki którym przyczynia się ona bardzo do wykształcenia dobrego smaku i zmysłu piękna, obok ścisłości i sumienności w postępowaniu.

Dzisiejsza technika fotograficzna osiągnęła tak wysoki stopień doskonałości, że w jednobarwnej szczególnie fotografii można już śmiało kusić się o rozwiązywanie najtrudniejszych zadań artystycznych. Od zwyczajnej procedury chromo-bromowej do węgla, pigmentu i gumy, wszystkie rozległe dziedziny sztuki fotograficznej stoją otworem przed pilnym, chętnym i nb. w odpowiednie środki finansowe wyposażonym amatorem.

U nas amatorstwo fotograficzne rozwija się wcale pomyślnie. Urządzane co jakiś czas wystawy świadczą o ciągłym w tym kierunku rozwoju i postępie. Równie wysoce dodatnie wrażenie wywarła kilkudniowa wystawa prac amatorów-fotografów w Krakowie. To, co nagromadzone tam w jednej z sal pałacu sztuki, zasługiwało pod każdym względem na baczną uwagę i szczerą pochwałę.

Wielu wystawców złożyło dowody usilnej i sumiennej pracy, trafnego stawiania sobie nieraz bardzo trudnych zadań i umiejętnej ich rozwiązywania. Palmę pierwszeństwa w postaci złotych medali przyznał sąd konkursowy p. Hablińskiemu i d-rowsi Krygowskiemu za doskonałe obrazy gumowe. Poza tem prawdziwą ozdobą wystawy były powiększenia bromowe pp. Kremera (medal srebrny), Dubeltowicza, Fischera, Grünhäusera, Rzący, Meyera, Birtusa i w. in.

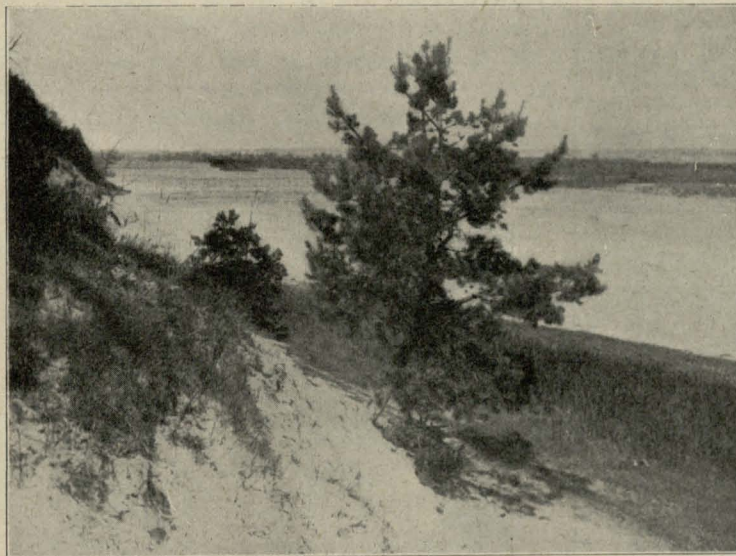
Duże zajęcie budziły również wielobarwne dyapozytywy p. Wygrzywalskiego ze Lwowa, wykonane na głośnych kliszach lumierowych. △

### Wielki Kraków.

Przy końcu ubiegłej sesji Sejm galicyjski uchwalił utworzenie Wielkiego Krakowa, potwierdzając w ten sposób uchwałę, którą w tym kierunku Rada m. Krakowa powzięła jeszcze w roku zeszłym.

W dziejach grodu podwawelskiego wypadek ten stanowi nową erę jego rozwoju, który odtąd, jak wszystko za tem przemawia, odbywać się będzie rażno i wszechstronnie. Kraków jest sercem Polski w znaczeniu nie tylko historycznym, kulturalnym i uczuciowym. Znajdując się z jego dziejami, widzimy, że jest on tem sercem także i w znaczeniu niejako organicznym, i że rozwój jego idzie zawsze w parze z rozwojem samowiedzy i energii narodowej na całym obszarze ziem polskich.

W pierwszej połowie ubiegłego wieku upadek Krakowa był bardzo głęboki. Katastrofy polityczne i nie-



Fragment pejzażowy, fot. inż. Dubeltowicz. Wystawa fot. w Krakowie

przyjazna w najwyższym stopniu polityka rządu austriackiego, który tuż za Wisłą założył nawet nowe miasto Podgórze, aby konkurować z Krakowem, stały się powodem wielkiego zubożenia i wyludnienia Krakowa. Dopiero w erze autonomicznej, kiedy społeczeństwo polskie w Galicyi odzyskało bodaj część wpływu na swoje własne losy, Kraków zaczął odżywać na nowo, a w ostatnich latach doszedł już do tego punktu, że musiał wchłonąć w siebie cały szereg otaczających go gmin wiejskich, aby uzyskać potrzebną swobodę terytoryalną i zdrowe podstawy gospodarki miejskiej.

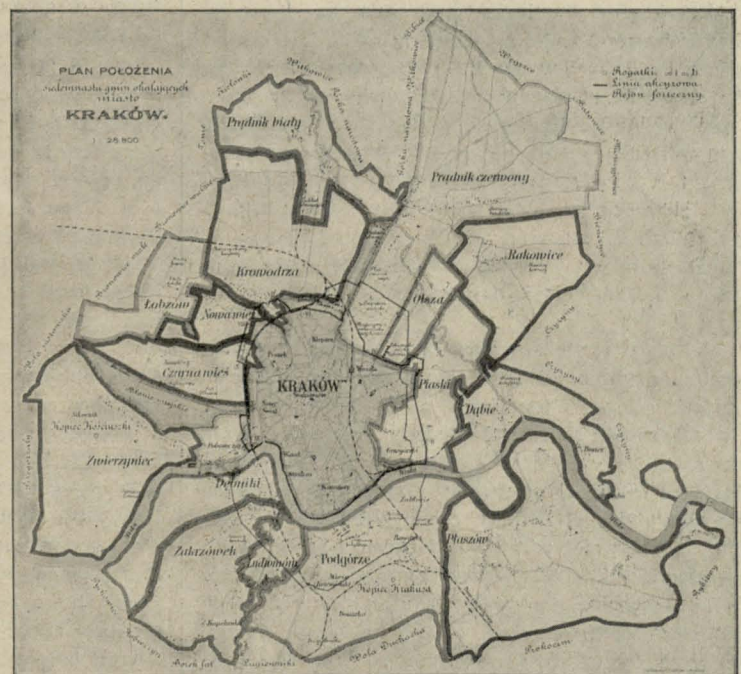
Kraków, miasto jedno z najgęściej zaludnionych w Europie—17,000 mieszkańców wypadła tu na jeden kilometr kwadratowy—przekroczywszy w swym rozwoju swą granicę historyczną, t. j. planty, w które z czasem przemieniły się dawne fortyfikacje miejskie, zaczął rozszerzać się z żywiołową siłą we wszystkich niemal kierunkach równocześnie, tak że wkrótce pozostały się z nim rozmaite gminy podmiejskie w jedną organiczną całość, mimo że pozostawały nadal odrębnymi jednostkami administracyjnymi. Był to stan wysoce nienormalny i dla rozwoju i gospodarstwa miasta szkodliwy.

Kiedy wreszcie wojskowość zdecydowała się przesunąć pas fortyfikacyjny dalej od miasta, uwalniając w ten sposób całą masę gruntów podmiejskich od ciężaru tak zwanych „rewersów demolacyjnych”, które musiał wystawiać każdy chcący budować dom na

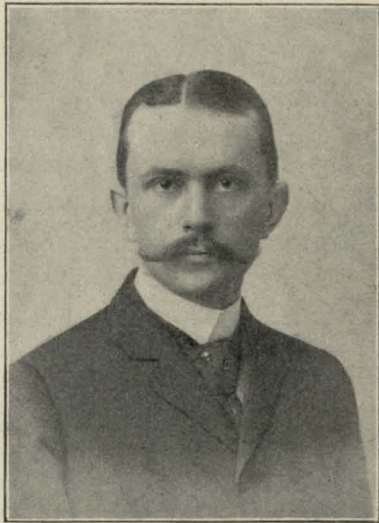
tych gruntach, zobowiązując się do zburzenia go na każde żądanie władz wojskowych, dla Krakowa powstała prosto kwestya bytu. Wobec ogromnej drożyzny placów budowlanych w mieście zachodziła obawa, że cały ruch budowlany przeniesie się za miasto na tanie grunty gmin podmiejskich, gdzie wybujał dziko i bez planu, zagrożając najżywotniejszym interesom miasta.

Z tych wszystkich względów wszystkie powołane czynniki uznały już dawno sprawę utworzenia Wielkiego Krakowa za dojrzałą. A skoro załatwienie jej mimo to odwleczono, stało się to głównie dzięki rozmaitym względom partyjno-politycznym. Ostatecznie jednak niezmordowana energia prezydenta miasta, dra Juliusza Lea, którego należy uważać za właściwego twórcę Wielkiego Krakowa, i dzielnie sekundujących mu posłów sejmowych z Krakowa zwyciężyła. Mamy dziś Wielki Kraków. Fakt ten oznacza dla miasta przyrost 22.18 kilometrów kwadratowych przestrzeni, 1660 domów i 38,953 prawie wyłącznie chrześcijańskiej ludności, tak że obecnie Kraków zajmuje 29.06 kil. kwadr. przestrzeni, liczy 4,060 domów i blisko 145,000 ludności.

To nagłe tak znaczne powiększenie miasta będzie musiało być okupione znacznym wydatkiem na inwestycje na nowo przyłączonych terenach. Przeprowadzenie



MAPKA WIELKIEGO KRAKOWA. Nie zostały przyłączone do miasta tylko gminy na połud-wschód, to jest: Dąbie, Podgórze, Ludwinów, tudzież na północy, część Prądnika czerwonego, aż po rzekę Białuchę.



Dr Juliusz Leo.

mal wolność rozwoju, do którego ma stałą, dawno już udowodnioną tendencję.

To też wiadomość o uchwale sejmowej co do Wielkiego Krakowa wywołała w tej naszej prastarej stolicy wielką i serdeczną radość. Na cześć powracają-

Korowód z pochodniami, na cześć Wielkiego Krakowa.  
Rys. P. Doubrowa.

cych ze Lwowa postów, którzy tak skutecznie dla sprawy pracowali, urządzono wspaniały pochód z pochodniami i muzyką. □

## Z życia politycznego.

Ciężkie, ołowiane chmury zaczynają pełzać na widnokręgu politycznym Austrii...

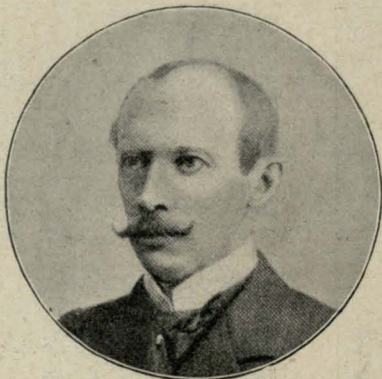
Spór czesko-niemiecki, trwający już od dłuższego czasu, wywołał przesilenie gabinetu i zawyrokował o jego nieoczekiwanym epilogu. Rokowania bar. Bienenrtha z przywódcami stronnictw parlamentarnych rozbiły się zupełnie, i oto do Nowego Roku utworzony został prowizoryczny gabinet urzędniczy, który ma pokierować nawą państwa Austro-Węgierskiego. Zadaniem jego będzie przeprowadzenie w parlamencie „konieczności państwowych”, t. j. prowizorium budżetowego, ustawy o aneksji Bośni i Hercegowiny, oraz uchwaleniu traktatu handlowego z Serbią.

Doniosły ten wypadek na widowni życia politycznego Austro-Węgier nasuwa bardzo poważne refleksje.

W ciągu ostatnich dwóch lat rząd prawie bagatelizował spór czesko-niemiecki, nie podejmując dla jego załatwienia celowej i energicznej akcji i przyczyniając się w ten sposób do rozrostu kwestii spornych. Baron Beck również przewlekał kwestję czesko-niemiecką, omijał ją i odkładał ostateczne rozwiązanie, skutkiem czego doszło do bezrządu w całym jednym kraju monarchii, a punkt ciężkości polityki państwa przeniósł się na Przekopy w Pradze. Bumle burszowskie wyrokowały o jej wahaniami i rozwoju, a urzędnicy państwowi zaczęli stosować literę prawa według własnych narodowościowych uprzedzeń i zapatrywań. Wytworzyła się taka sytuacja, iż w miarę rozrostu waśni przywódcy Czechów i Niemców nie mogli znaleźć się w jednym gabinecie.

Katakizm państwowy rozpoczął się obecnie w ca-

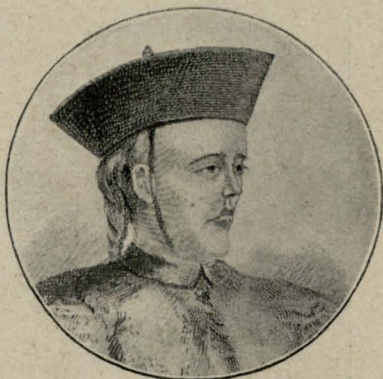
kanalizacyi, wodociągów, przewodów gazowych, założenie bruków i chodników. Stowem, uporządkowanie tych nowoużytych dzielnic będzie wymagało od miasta silnego nateżenia finansowego, ale wydatki te opłaca się sówicie, bo miastouczyska odrazu nieograniczoną nie-



Bar. Włodzimierz Beck, b. prezes gabinetu wiedeńskiego.



Ryszard Bienenrth, nowy prezes ministrów austriackich.



Zmarły cesarz chiński, Kuang-hsiu.

łej pełni, gdyż upadek gabinetu br. Becka i zastąpienia go prowizorycznym gabinetem urzędniczym wcale nie rozwiązuje przesilenia. Sytuacja i nadal nie przestaje być bardzo poważną, a nawet niebezpieczną dla państwa, jako takiego. Najbliższa przeto sesja Rady rozstrzygnie nie tylko kwestję własnego istnienia, ale zawyrokuje też o dalszym przebiegu wypadków, dotyczących wprost egzystencji samej monarchii.

Najgorzej układa się bieg spraw wewnętrznych. Wojna wisi oniemal w powietrzu, a prawdopodobieństwo jej wybuchu staje się coraz możliwe. Dość uważnie



Tsu-Hsi, zmarła cesarzowa regentka.

tylko czytać telegramy z Bałkanów, przynoszące najmniej oczekiwane zwroty i niespodzianki. W Serbii i Czarnogórze wre, jak w ulu...

To też nic dziwnego, iż wypadki i wydarzenia z ostatniej doby na terenie europejskim tak przykuwają do siebie ogólną uwagę, iż bez wrażenia prawie mijają różne fazy w życiu politycznym Wschodu, oraz te zjawiska, które przy normalnym biegu spraw więcej interesowałyby szersze warstwy.

W stolicy Chin w żałobnych komnatach bogdychańskiego pałacu zmarł cesarz Kuang-hsiu. Urodzony dnia 2 sierpnia 1872 r., jako drugi syn I-huana ks. Czun, ogłoszony już został władcą monarchii w czwartym roku swego życia, a w imieniu jego rządy sprawowała ciotka Tsu-Hsi, cesarzowa-regentka. Od roku jednak 1889, t. j. mając lat 17, Kuang-hsiu objął sam władzę niepodzielnie i poddał się wpływowi stronnictwa postępowego, popieranego przez Anglików. Wobec tego żądna władzy ciotka urządziła zamach stanu i nanowo pokierowała nawą państwa, usuwając młodego cesarza od rządów w Chinach, który, jako władca, istniał tylko nominalnie. W ciągu całego swojego pseudo-panowania Kuang-hsiu odznaczał się żą-

dzą reform i chciwością wiedzy, lecz, będąc chwiejnego charakteru i słabym fizycznie, zawsze ulegał wpływom energicznej cesarzowej-ciotki.

Należy oczekiwać, iż śmierć Kuang-hsiu pociągnie za sobą pewne zmiany, a może nawet i poważniejszy przewrót w 400-milionowym państwie Niebieskiem. K.

## NASZE RYCINY.

„Kotomijka” *Juliusza Zuber*a, doskonała w ruchach i charakterach scena ludowa, którą artysta utrzymał w barwie złotawej, prawie jednotonnej, robi wrażenie naszkicowanej jednym tchem, stąd nadzwyczajna malowniczość tematu w małym rozmiarze obrazku. Przeciwny biegun nastroju stanowią „*Smutne przecucia*” *Leonarda Strojnowskiego*, znanego artysty i dyrektora szkoły malarskiej w Krakowie. Tu malarz oddziaływa wyrazem smutku i przygnębienia, odczuwa głęboko i żywa się niejako z obrazem tworzonym. Strojnowski jest wybornym kolorystą i samodzielnym bez manieri w technice, jednym słowem, doskonały to przedstawiciel szkoły, z której wyszedł za czasów Matejki. — „*Typ wschodni*”. *R. D. Mackenzie*, Anglik, znakomity malarz scen wschodnich, jest zarazem rzeźbiarzem, nieporównanym w charakterystyce i wyrazie, czego dowodem jest biust, w niniejszym numerze zamieszczony. — Druga rzeźba, „*Niedźwiedź*” *G. Gardeta*, drobne rozmiarami arcydzieło francuskiego rzeźbiarza, kute przez artystę w szarym marmurze, sprawiło sensację w sferach artystycznych Londynu. Przypomnieć wypada, że Gardet jest najlepszym rzeźbiarzem *animalier* francuskim, a dzieła jego zdobią wiele muzeów we Francji.

## Katastrofa w kopalni.

W westfalskiem zagłębiu węglowym, na zachodzie Prus, a mianowicie w kopalni „*Radbod*” pod miastem Hamm, liczącem 25,000 mieszkańców, powstała katastrofa, która swymi rozmiarami i skutkami przewyższyła wszystkie podobne wypadki, nawet słynną katastrofę w kopalni węgla w Courrières północno-francuskiego zagłębia.

W chwili katastrofy w szybach, które zostały objęte wybuchem, znajdowało się 401 ludzi, z których wszyscy prawie zginęli wśród płomieni i gazów. Sprawa wybuchu nie została narazie dokładnie zbadana.



Katastrofa kopalniana w Radbod pod Hamm w Westfalii.

NADESŁANE.

**Zabawki** wszelkiego rodzaju, **lalki** francuskie i skórkowe z główkami porcelanowymi i blaszanymi, ubierane, w strojach krakowskich i innych, **gry towarzyskie** i ciągle nowości w dziale zabawkowym poleca:

**STEFAN POREBSKI**

Kraków, Rynek 32, linia C-D

**W. CYBULSKI i S-ka** Telefon 60-29  
Warszawa, Nowo-Senatorska 7.  
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

**ALFONS MANN** Telefon 60-29  
Warszawa, Tłomackie 3.  
Fabryka założona w 1819 r.  
Wyroby stalowe ostre, tylko w wyborowych gatunkach: Brzytwy. Maszynki do golenia i do strzyżenia. Noże ogrodnicze. Sekatory.

**C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN**  
i KAMIENI MŁYNSKICH  
BUDOWA MŁYNÓW  
WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYNSKIE.  
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t.p.

**SRODKI do ZĘBÓW**  
ELIKSIR, PROSZEK i PASTA  
Ojców  
**BENEDYKTYNÓW**  
Opactwa SOULAC

**WAŻNA UWAGA:**  
Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podrobione.

MODEL FLAKONU



**SALON „ARS”**  
Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).  
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

**Denaturowany spirytus.**  
Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kuchenki, żelazka i t. p.  
**B. CIA WIŚNIEWSKI i S-ka**  
Foksal 18, Telefon 3039.

Ostatnie słowo gry mechanicznej!  
**ANGELUS.**

Angelus-Orchestral.  
Angelus-Melodant.  
Angelus-Piano.

Wylączna Reprezentacja na Królestwo i Cesarstwo  
**Herman & Grossman**  
Mazowiecka 16  
Petersburg Moskwa  
CENNIKI GRATIS

**ANGELUS**

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**  
Browaru  
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**  
pośredniczą  
w prenumeracie pism

KSIĘGARNIA  
**GEBETHNERA i WOLFFA**  
w Warszawie  
poleca:  
**WYBÓR POEZJI**  
ARTURA OPPMANA (OR-OTA)  
wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.  
Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.  
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**DZIEŃ**

WIELKA BEZPARTYJNA GAZETA POPOŁUDNIOWA

zacznie wychodzić w Warszawie od 1 grudnia 1908 roku  
pod redakcją naczelną **STEFANA GORSKIEGO**,  
z udziałem najwybitniejszych sił publicystycznych i pisarskich.

**DZIEŃ** będzie bezstronnem odzwierciedleniem chwili, strażnikiem dobrze pojętych interesów narodowych, opartych na postępie czasu i szerokie demokratyzacji mas.

**DZIEŃ** w najważniejszych środowiskach świata ma zorganizowane swoje własne biura redakcyjne.

**DZIEŃ** zapewnione ma pierwszorzędne informacje zarówno w kraju jak zagranicą.

**DZIEŃ** dla szybszego obsługiwania redakcji pierwszy wprowadza lokomotywę samochodową.

**DZIEŃ** pozyskał dotychczas przeszło 100 współpracowników i korespondentów.

**DZIEŃ** w pierwszym numerze rozpocznie druk obrazów powieściowych **WINCENTEGO KOSIAKIEWICZA** p. t. **Pobyt w Petersburgu p. Inocentego Ostoi Mokryjewicza, Pośta Ziemi Skowrońskiej do 1 Dumi Państwowej.**

**DZIEŃ** od 1 stycznia zacznie drukować wielką powieść znakomitej autorki „Córki Tuśki” **GABRYELI ZAPOLSKIEJ**, p. t. „**Szaletństwo**”.

Kto przed 1-ym grudnia 1908 r. wnieśli opłatę roczną, półroczną lub kwartalną na r. 1909, przez grudzień 1908 r. pismo nasze otrzymywać będzie bezpłatnie.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie:	Na prowincji i w Cesarstwie:	
Rocznie rub. 9. —	Kwartalnie rub. 2.25	Rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6,
Półrocznie rb. 4.50	Miesięcznie kop. 75	kwart. rb. 3, miesięcznie rb. 1.
Za odnośnienie do domu 5 kop. miesięcznie.		Za granicą: rocznie rb. 18,
		kwartalnie rb. 4 kop. 50.

Adres Redakcji i Administracji: **WARECKA** Nr 9.

Telefon Redakcji Nr 68 10 Telefon Administracji Nr 68.11.

Filia w Łodzi: „**PROMIEN**” Piotrkowska 81.



# F. IZDEBSKI

Senatorska 6 w Warszawie.  
Telefon 20-78  
FILIA:  
Bracka 20  
Telefon 90-85

EGZYSTUJE OD ROKU 1858  
Sklad Szkła, Porcelany, Fajansu, Majoliki i Naczyn Kamiennych, własna Malarnia  
poleca całkowite wyprawy ślubne od najskromniejszych. Herby i monogramy na szkłe i porcelanie. Bronzy francuskie, Delfty i Kryształ artystyczne Baccarat. **Stały napływ nowości. Ceny fabryczne.**

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH  
EKSTRAKT I KARMELKI

## LELIWA

w Warszawie, ulica Złotna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

PASTILLES  
DE

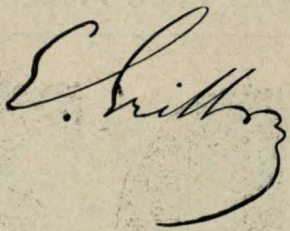
## TAMAR INDIEN GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
PRZECIW  
OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

**MIŁUJĄCYM ZDROWIE!** poleca:  
**Okulary i Binokle** z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaże elektryczne** usuwają rupturę, nie krępują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów w **dobrym gatunku**. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie **Michała Pik**, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

**LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671

FORTEPIANY,  
PIANINA, PIANOLE,  
ORGANY,  
MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa, Krak.-Przed. 17



**L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23  
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej  
**KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI**

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

## SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M-me MÈRCERE  
Nowy-Swiat № 42

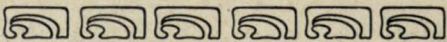
dyplomowanej w Paryżu mistrzyni, system nowy, genre tailleur, moullage, bielizna. Patenty cechowe. Przy szkole pracownia sukien i okryć.

**J. GOŁEMBIOWSKI  
ZEGARMISTRZ**

Marszałkowska 111

egzystuje od 1880 roku.

Magazyn zawsze zaopatrzonej w pierwszorzędnym towar. Ceny niskie. Gwarancja poważna.



**J. MIECZKOWSKI, Fotografia**  
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

## ZABAWKI

Gry salonowe. **Kotylionowe** przybory. **Witraże** do okien. **Filtry** do wody. **Nowości** paryskie. Katalogi franco.

MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).

## JULIUSZ SŁOWACKI PISMA

wydane za życia i po śmierci autora,  
w układzie D-ra Artura Górskiego

6 tomów (przeszło 3,500 stron druku)  
rub. 6, w opr. rub. 8.

Ukażą się w początku Grudnia r. b.  
Nakład G. GEBETHNERA i S-ki  
w Krakowie.

Koncesjonowana przez c. k. Namiestnictwo  
**SZKOŁA MALARSTWA**  
(DLA MĘŻCZYŹN I KOBIET)  
**Leonarda Stroynowskiego**  
W KRAKOWIE.  
Gołębia Nr 14.

**Dr. I. Wapiński** ord. klin. szpitala świętego Łazarza  
Nowosennatorska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Dł 12 rano i od 5-8 w.

**LECZNICA DLA DZIECI**  
D-ra Juliana Gawrońskiego  
Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),  
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11 rano. **Porada 50 kop.**

**MAŁECKI**  
Fabryka  
Fortepianów  
i Pianin  
PIĘKNA Nr 1 (róg Alei Ujazdowskiej) tel. 170,65.



PLYN  
Cena flak. rub. 1.  
**HEMOGEN MAGISTRA KLAWE**

najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnym osłabieniu, małokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku. Uznany przez powagi lekarskie, ja-  
dzielny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt. Wyrób laboratorium apteki Magistra Klawe, Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

**Bracia ŁOPIEŃSCY** polecają **BRONZY** Magazyn Krakowskie Przedmieście № 15 dom Hrabiego J, Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskowera i S-ki, Warszawa

z Poznania. — Atelier reparacyjne  
WIERZBOWA № 6 (Hotel Angielski)

**Józef SUPPERT**

poleca

**Bizuterję**

w stylach nowo-  
czesnych, oraz

**Zegarki, Zegarki**



# TYGODNIK ILLUSTROWANY

## PROSPEKT NA ROK JUBILEUSZOWY 1909



ZA PRZEWODNIĄ GWIAZDĄ

PIOTR STACHIEWICZ



roku przyszłym 1909-ym upływa pół wieku od daty wyjścia pierwszego numeru „Tygodnika Ilustrowanego”. Długi to przeciąg czasu — i niewielu pismom polskim przetrwać go danem było. „TYGODNIK ILLUSTROWANY” od początku swego istnienia stanął na straży spraw narodowych i najżywoźniejszych ideałów społeczeństwa. Tem, czem byliśmy — jesteśmy i pozostaniemy, bo zmieniać się mogą przekonania i prądy — inaczej ludzkość nie szłaby naprzód, wciąż dalej, — ale rdzeń rzeczy: miłość przeszłości, cześć dla szlachetnych i czystych jej tradycji, żywotne pojmowanie doby obecnej i wiara niezłomna w słoneczne Jutro Narodu, muszą pozostać niezmiennie po wszystkie lata.

Pięćdziesiąt lat pracy na ojczystym zagonie, sto wielkich tomów, bez których nie obejdzie się nigdy historyk literatury i sztuki polskiej, oto doro-

bek „Tygodnika”, dorobek, z którego dumni być możemy. I nie my tylko, którzyśmy, jak poprzednicy nasi, duszę swą w to pismo włożyli, lecz i całe społeczeństwo polskie, umiejące cenić to, co na pamięć, na szacunek, na miłość zasługuje.

Ktokolwiek przejrzeby zechciał ten ogromny zbiór literacko-artystyczny, przekona się snadno, iż jedną nicią związane są te księgi, iż jedna poprzecznikiem naszym i nam przewodnia świeciła gwiazda: nicią tą było szczere, gorące uczucie, gwiazdą — dobro ojczyzny. Przetrwaliśmy pół wieku w warunkach zawsze ciężkich, niekiedy wprost fatalnych, i nie traciliśmy nigdy nadziei. Dziś z otuchą większą, niż kiedykolwiek, zabieramy się do dalszej pracy, wierząc najsilniej, że żaden trud nie idzie na marne i że z każdego ziarna, rzuconego w serce narodu, wyrosnąć musi obfity plon.

A chociażbyśmy plonu tego nie ujrzeli własnymi oczyma — on będzie! — i rozraduje przyszłe, szczęśliwsze pokolenia.



HASŁO

PIOTR STACHEWICZ

Nie czas tu i nie miejsce wyliczać, co „Tygodnik Ilustrowany” w ciągu półwiekowego istnienia na łamach swoich zamieścił. Wyliczenie takie zresztą, sam tylko spis tytułów prac literackich i dzieł artystycznych stworzyłby wielką, kilkusetstronicową księgę; dość zaznaczyć, że nie było ani jednego wybitnego nazwiska w dziedzinie nauki, belletrystyki, malarstwa i rzeźby polskiej, któreby pismo nasze pochwalić się nie mogło. Nazwiska te lśnią, jak drogocenne klejnoty, na kartach Tygodnika, podznaczając dzieła pierwszorzędnej nieraz wartości, dzieła, które weszły do skarbcza literatury i sztuki polskiej, jako wiecznotrwałe perły tego sanktuarium ducha narodowego.

Niezadługo w ozdobnym pamiątkowym zeszycie podamy czytającemu ogółowi dzieje pisma, które, sądzimy, zrosło się i zespoliło z całą inteligencją polską. Będzie to dokument, stwierdzający łączność serdeczną pomiędzy Tygodnikiem a społeczeństwem.

*Od roku nowego 1909-go «Tygodnik Ilustrowany» udoskonali swój wygląd zewnętrzny, zmieni się też jego wewnętrzny układ. Pragniemy pismo nasze postawić na poziomie najpierwszorzędniejszych zagranicznych ilustracji, aczkolwiek, dodajemy z góry, pisma tego rodzaju i typu, co Tygodnik, w Europie niema. Tygodnik nasz jednoczy bowiem to, co dają miesięczne i tygodniowe wydawnictwa zagraniczne. Ostatnie zajmują się wyłącznie niemal aktualnością, pierwsze — belletrystyką głównie. My musimy połączyć jedno i drugie.*

Zanim przejdziemy do szczegółów przyszłego układu Tygodnika, wyrazić chcemy nasz pogląd na dwa główne, zasadnicze działy naszego pisma: sprawy aktualne i dział literacko-artystyczny.

#### SPRAWY AKTUALNE:

W czasach dzisiejszych, gorących i ruchliwych, kiedy każdy prawie dzień przynosi coś nowego czy u nas, czy poza granicami kraju, niepodobna przemilczeć tego wszystkiego, co składa się na szeroki obraz współczesnego życia, co wyjaśnia nam sprawy świata i sprawy nasze własne. Wśród tego olbrzymiego materiału wybierać będziemy starannie to jednak tylko, co ma wartość istotną, co z chwili poczęte nie zginie przecież wraz z chwilą, ale pozostanie jako dokument do przeżywanego przez nas epoki. Odrzucać zaś będziemy wszelkie drobiazgi, wszelkie reporterskie przyczynki, wszelki jednym słowem balast suchy, nudny, błahy i nie mający trwalszego znaczenia. To

zaś, co na łamach Tygodnika miejsce znajdzie, podawać będziemy zawsze w formie artystycznej, wytwornej, nie zdawkowej, opatrując każdy artykuł ilustracjami, które będą wyjaśniać i uzupełniać tekst.

#### DZIAŁ LITERACKO-ARTYSTYCZNY:

W dziale tym, jak zwykle zresztą, zamieszczać będziemy najwybitniejsze ostatnie utwory znakomitych pisarzy polskich, dających wszelką gwarancję, że dzieła ich, poza swą wartością ideową, są także pierwszorzędnymi dziełami sztuki; na miejscu naczelnym wymienimy tu dwie powieści, mianowicie:



**„UNIA”** POWIEŚĆ LITEWSKA  
PRZEZ JÓZEFA WEYSSENHOFFA  
z ilustracjami Konstantego GORSKIEGO

**i „CAR WIDMO”** Powieść z czasów zasiadania Władysława syna Zygmunta na tronie Rurykowym.  
PRZEZ WIKTORA GOMULICKIEGO

Z ilustracjami.

Znakomity autor „Podfilipskiego” w najnowszej swej powieści porusza sprawę ruchów separacyjnych na Litwie. Trudno o motyw ważniejszy i ciekawszy. Są to rzeczy, które obchodzić muszą całą Polskę, jak szeroka i długa.

WIKTOR GOMULICKI, świetny i wytworny znawca przeszłości naszej, wybrał temat ze wszech miar interesujący: epoka owa to moment w dziejach naszych i w dziejach Rosji pierwszorzędnego znaczenia, krótkie zaś carowanie Władysława nasunąć musi mnóstwo refleksji i mnóstwo: „co by to było, gdyby...”

Wiadomo wszystkim, z jakim artyzmem, z jaką ścisłością historyczną, z jakim bogactwem barw wskrzesza autor „Miecza i łokcia” i „Pieśni o Gdańsku” minione dawno czasy. Kto wie, czy „Car-Widmo” nie jest najlepszą powieścią Gomulickiego.